



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

11
2018

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

Islandia WSZYSTKIE OBLICZA ISLANDII

str. 12

str. 48

HISZPANIA

MUZA SALVADORA

str. 78

KAMBODŻA

DUCH MEKONGU

str. 30

MACEDONIA

PERŁY OCHRYDZKIE

PERU
STR. 56



POLSKA STR. 68
PIĘKNA BYDZIA

KAMERUN STR. 22
Z GÓRKI DO OCEANU

JAPONIA STR. 38
TAJEMNICE KOCIEJ WYSPY

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 177 0032 6143 03 11

**SZUKAJ
W DOBRYCH
SKLEPACH**



CZAS NA ZABAWĘ!



Kup dowolne produkty **VARTA** za min. 15 zł i odbierz nagrodę gwarantowaną - **voucher o wartości 10 zł do home&you***.

Dodatkowo odpowiedz na proste pytanie konkursowe i powalcz o atrakcyjne nagrody!



5x rodzinny wyjazd
do Tropical Islands



12x kultowy
aparat Instax Mini 9



GRATIS
voucher do home&you

Akcja trwa od 1 października do 31 grudnia 2018.
Szczegóły konkursu oraz regulamin akcji znajdziesz na stronie www.czas-na-zabawe.pl

*Liczba voucherów do home&you jest ograniczona.

VARTA
In service for you



KAMERUN str. 22



GRUZJA str. 90



PERU str. 56



JAPONIA str. 38



POLSKA str. 68

W NUMERZE

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

ISLANDIA str. 12
Wrota na cztery
strony świata.
Agnieszka Mikulec

KAMERUN str. 22
Podróż od najwyższego
szczytu do oceanu.
Robert Gondek

MACEDONIA str. 30
Perły ochrydzkie.
Mieczysław T. Starkowski

JAPONIA str. 38
Tajemnice kociej wyspy.
Anna Dąbrowska

GEOSKOP str. 44

HISZPANIA str. 48
Cadaqués jest niewielkie,
ale tak wyjątkowe, że stało
się natchnieniem wielkich
artystów.
Aneta Kotarska

PODRÓŻNOŚCI str. 54
Kwadrans na łyż.
Felietaon Magdaleny
Żelazowskiej

PERU str. 56
Choquequirao to inkaskie
ruiny, równie zachwycające
co Machu Picchu, ale
zdecydowanie mniej znane.
Renata Matusiak

NAVIGATOR str. 64

POLSKA str. 68
Bydgoszcz to największe
niedoceniane miasto
w naszym kraju.
Piotr Geise

MIKROWYPRAWY str. 76
Strach.
Felietaon Łukasza
Długowskiego

KAMBODŻA str. 78
W wodach Mekongu żyje
tajemniczy ssak – oreczka
krótkogłowa.
Radosław Kożuszek

POLSKA NIEZNANA str. 88
W sercu Polski.
Felietaon Mikołaja
Gospodarka

GRUZJA str. 90
Cziatura stanowi gratkę
dla wielbicieli industrialnej
turystyki i fotografii.
Stanisława Budzisz-
Cysewska

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
HAWAJE str. 98
Kaua'i – Wyspa Ogrodów.
Jerzy Nowiński

**ŚLADAMI
PRZESZŁOŚCI** str. 108
Podejść możliwie blisko.
Felietaon Anny Szczyńskiej

OUTDOOR str. 110

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
zorza nad górą
Kirkjufell w Islandii



Mikołaj Gospodarek

WŁOCHY

Porannej mgły snuje się dym

Poranne mgły przelewające się przez skraj masywu Sella we włoskich Dolomitach. Jesienne poranki na tych wysokościach są bardzo mroźne. Kolega ruszył w stronę skał, żeby się rozgrzać, i przypadkowo wszedł w kadr. Dzięki temu zdjęcie stało się ciekawsze, bo jego postać pozwala oddać skalę i potęgę gór.



BINDI

Miejska, aktywna,
zawsze gotowa do wyjścia na trening.

**Ultralekka latarka czołowa z akumulatorem,
przeznaczona do codziennego treningu biegowego.**

BINDI jest ultralekka i kompaktowa, waży tylko 35 g i mieści się w dłoni. Dzięki dużej mocy światła i szybkiemu ładowaniu przez USB jest idealna do codziennego użycia, regularnych treningów w mieście i w plenerze. Cienka opaska ma łatwą regulację i umożliwia wygodne noszenie latarki na wiele sposobów. 200 lumenów. www.petzl.com



Paweł Pluciński

POLSKA

Sarna, jaka jest, każdy widzi

Sarna, ssak z rodziny jeleniowatych, zamieszkuje głównie obrzeża lasów, pola i łąki Europy (z wyjątkiem północnej Skandynawii), Azji Środkowo-Zachodniej oraz Syberii. Sarny żyją w niewielkich stadach albo pojedynczo, prowadzą zasadniczo dzienny tryb życia, jednak w rejonach częstych polowań lub o dużym ruchu turystycznym żerują głównie o zmierzchu i nocą. Żywią się trawami, ziołami, pędami, liśćmi, korą drzew i krzewów, owocami, niekiedy grzybami.

Zdjęcie wykonałem we wrześniu, w piękny mglisty poranek, na obszarach Natura 2000 w miejscowości Koło.

KOPALNIA SOLI

WIELICZKA

www.kopalnia.pl



1978-2018

NA LIŚCIE ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA





Izabela Urbaniak

ARGENTYNA

Rząd na lodzie

Zdjęcie zrobiono na lodowcu Perito Moreno, który znajduje się w Parku Narodowym Los Glaciares w Argentynie. Lodowiec jest jedną z największych atrakcji Patagonii. Ma ponad 250 km² powierzchni oraz 30 km długości i nieustannie się rozrasta, bo jest zasilany przez Południowy Łądolód Patagoński w Andach. Perito Moreno można podziwiać z jednego z wielu punktów widokowych lub wybrać się na spacer po jego powierzchni, jak widoczni na zdjęciu, ustawieni w rzędzie alpinistów.

Zdjęcie zajęło I miejsce w XI. edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT! Można je oglądać przez całą jesień na wystawie na Terminalu Promowym Stena Line w szwedzkiej Karlskronie.
www.poznajswiatzeskat.pl

Jerzy Safijański

CHINY

Długowłosa wioska

Taras ryżowe Longji wznoszą się na wysokość od 300 do 1100 m n.p.m. Jak w większości Azji były budowane ręcznie przez wiele pokoleń na przestrzeni 650 lat. To żywy i dający plony wytwór ludzkiej pracowitości i wytrwałości. Zamieszkujące okolice kobiety z plemienia Yao mają rekordowo długie włosy, sięgające nawet 200 cm. Obcinają je tylko raz w życiu – na 18. urodziny, jako znak dorosłości. Włosy te są doczepiane do rosnących na głowie, a do nich z kolei są doplatane te, które wypadają podczas czesania. Huangluo Yao została uznana jako wioska osób z najdłuższymi włosami na świecie.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.





Znajdź nas w cyfrowym kiosku
Publico24 Newsstand



Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie





Agnieszka Mikulec

WROTA NA CZTERY STRONY



FOT. AGNIESZKA MIKULEC

ŚWIATA

W krakowskim antykwariacie leżała, pochodząca z początku ubiegłego stulecia, pożytkła książeczka dla dzieci „Nonni i Manni” islandzkiego autora Jóna Sveinssona. Po lekturze pierwszego zdania z przedmowy: „Islandia! Tajemnicza, na dalekiej północy zagubiona wyspa” wiedziałam, że chcę się tam jak najszybciej znaleźć. Historia dwóch chłopców, oparta na faktach, ma swój początek w Akureyri.



Akureyri to główne miasto na północny kraju. Niesamowite jest w nim to, że choć znajduje się blisko kręgu polarnego, ma wyjątkowo ciepły klimat. Doświadczam tego, delektując się widokiem granitowych, ośnieżonych gór z jednej strony, z drugiej zaś – najdłuższego fiordu islandzkiego Eyjafjörður.

POGODNA PÓŁNOC

Latem jest tutaj zielono i słonecznie. Najpierw robię sondę uliczną wśród tubylców, pokazując

polską wersję „Nonniego i Manniego” i pytając, czy znają tę książkę. To od razu wywołuje uśmiech i otwiera ścieżkę do rozmów. Jakże nie znać jej autora, a zarazem głównego bohatera, skoro w oddalonej nieco od centrum, najstarszej części Akureyri, znajduje się pomnik Jóna Sveinssona oraz jego odrestaurowany dom – Nonnahús. Można w nim zobaczyć, jak żyło się tu w XIX w., a także obejrzyć pamiątki po popularnym, nie tylko w swojej ojczyźnie, pisarzu. Bilety sprzedaje młody chłopak, który wyjaśnia, że w Islandii młodzież w wieku 14 lat może pracować 2 godziny dziennie w ciągu roku szkolnego, a w wakacje – 7 godzin. W dalszej podróży faktycznie zauważam nastolatki przy kasach w supermarketach, w centrach informacji turystycznej, podczas koszenia trawy.

W bliskim sąsiedztwie Nonnahús postawiono, przeniesiony z innej miejscowości, mały kościółek, dalej widać pierwszy w Islandii żłobek. Bliżej centrum znajduje się dom słynnego poety, twórcy hymnu państwowego, Matthíasa Jochumssona.

Wizytówką Akureyri jest betonowy kościół z 1940 r., do którego turyści wspinają się wieloma schodami niczym do nieba. Ocena obiektu wzbudza kontrowersje – wiele osób twierdzi, że jest nieatrakcyjny, jednak mieszkańcy są dumni z tej budowli i chętnie umieszczają jej zdjęcie w folderach reklamujących miasto. Bryła kościoła może nie zachwycać, ale odwiedzających na pewno zainteresuje okno

w prezbiterium – dar od katedry w Coventry w Anglii, która to świątynia została wkrótce niemal doszczętnie zombardowana przez niemieckie samoloty w czasie II wojny światowej. Mnie zaciekawił zwisający z sufitu model statku – to, zgodnie z tradycją północnych ludów, swoisty talizman chroniący wypływających na ocean żeglarzy.

W Islandii często widziałam pomniki stawiane poległym w morskich głębinach, a najczęstszym motywem była śruba okrętowa lub kotwica. Największe wrażenie wywarł na mnie cmentarz w Fáskrúðsfjörður, usytuowany u stóp fiordu o tej samej nazwie. Niezwykle mały, mieszczący kilkanaście białych, prostych krzyży i ogrodzony skromnym, niskim płotem również z białych sztachetek. Pochowani tu zostali francuscy żeglarze, którzy przegrali z oceanem. Takie miejsce nastroja do snucia refleksji o potędze żywiołu oraz o odwadze wypływających rybaków.

MROŻĄCY WIDOK

Nad Jökulsárlón można się przekonać, ile kolorów ma lód, gdy pod różnymi kątami przenika go światło słoneczne.



FOT. AGNIESZKA MKULLEC



FOT. AGNIESZKA MKULLEC



W czasie rozmów na ten temat jeden z Islandczyków polecił mi film „Na głębinie” (2012). Niezwykły obraz, oparty na faktach, rozgrywa się w zimnych wodach oceanu i pokazuje determinację ludzką w myśl Hemingwayowskiej zasady: „Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać”.

DALEKI OD SZOSY WSCHÓD

Wschodnie fiordy są mniej oblegane przez turystów niż zachodnie, jednak można tutaj odnaleźć perełki. Na pewno nie należy do niezwykłych główne miasto regionu Egilsstaðir, natomiast gospodarstwa czy osady rybackie, czasem jakby schowane, mają w sobie niepowtarzalny urok. Odwiedzam

wioskę Borgarfjörður Eystri, w której podobno mieszka królowa elfów. Jeśli tak, to wybrała doskonale miejsce na ukrycie. Aby tutaj trafić, wspina się samochodem na wysokość ponad 1000 m n.p.m., gdzie jadę w gęstych chmurach, a widoczność jest ograniczona do kilku metrów. Potem zjeżdżam serpentynami w dół na wybrzeże, mijając stojący na stromym zboczu krzyż. Tubylcy postawili go już w XIV w. w związku z wieloma wypadkami na tej drodze. Wierzyli bowiem, że nieszczęścia powoduje stwór – pół człowiek, pół zwierzę, więc krucyfiks miał go odstraszać.

Pozostałością po starodawnych wierzeniach jest kamienny pagórek w centrum wsi, zwany wzgórzem elfów, usytuowany nieopodal małego kościółka. Świątynia chowa

AKURAT AKUREYRI

Mimo że miasto znajduje się blisko kręgu polarnego, ma wyjątkowo ciepły klimat. Można tu delectować się widokiem granitowych gór z jednej strony i najdłuższego fiordu islandzkiego Eyjafjörður z drugiej.

ZŁOTE WODOSPADY

Tak nazywają Islandczycy wodospad Gullfoss, bo ogromne masy wody rozpryskują się w słońcu, a w pogodne dni można tutaj zobaczyć liczne tęcze.

FOT. AGNIESZKA MIKOŁAJCZAK

we wnętrzu ołtarz namalowany przez najsłynniejszego malarza islandzkiego Jóhannesa Kjarvala, który urodził się w tej miejscowości w 1885 r. Rodacy cenili go za to, że nauczył ich dostrzegać piękno pejzażu, w który wpisywał nie tylko ludzi, ale też nadprzyrodzonych bohaterów sag.

Inną wioską, która zaprasza, aby się w niej zatrzymać, jest Stöðvarfjörður. Miejsce to rozświetliła Petra Sveinsdóttir – zebrała ogromną kolekcję różnorodnych kamieni, które są wyeksponowane w muzeum i ogrodzie. Tutaj też pytam wychodzącego ze sklepu sympatycznego nastolatka o typowej islandzkiej urodzie o znajomość książki „Nonni i Manni”. Niestety, nie kojarzy ani tytułu, ani autora, w przeciwieństwie do starszego rybaka z Fáskrúðsfjörður wracającego wczesnym przedpołudniem z połowu. W trakcie rozmowy okazuje się, że przed laty pracował w Gdańsku. Z dumą pokazuje mi swoją łódkę, a także rezultat nocnych łowów, oraz raczy mnie krystalicznie czystą wodą, prosto z gumowego węża, i pyta: – *Dobry? Dobry?* Mówi, że w tutejszej przetwórni pracuje dużo Polaków, którzy są cenieni za pracowitość. Żegnamy się serdecznie, ja ruszam dalej, a rybak wraca do domu, by odespać nocne połowy.

TURYSTYCZNE POŁUDNIE

Południowa część Islandii jest bardzo popularna wśród turystów, także zwolenników jednodniowych wycieczek ze stolicy. Nic dziwnego, bo przecież tutaj znajduje się kumulacja wszystkiego, co kojarzy się z Islandią: gorące gejzery, majestatyczne wodospady, widowiskowe kratery wulkanów, pokryte miękkim mchem pola lawowe, szerokie czoła lodowców i krystaliczne jeziora z niezwyklejmi bryłami lodowymi. Najdalej na południe wysunięta miejscowość to licząca około 300 mieszkańców Vík (na mapie oznaczony jako Vík i Mýrdal w odróżnieniu od innych o tej samej nazwie). Jedyne miejsce na południowym wybrzeżu niemające portu, za to nazywane najbardziej deszczowym miasteczkiem Islandii. Rzeczywiście, kilka kilometrów



ZASTYGLY

Człowiek zastyga i nie może oderwać oczu, a takich wodospadów jak Seljalandsfoss jest w Islandii wiele.



MOŻNA SIĘ SPARZYĆ

Tabliczki w Geysir przypominają o temperaturze wody w gejzerach, bo turyści chcą na własnej skórze doświadczyć jej właściwości ciepłych, co kończy się poparzeniem.

LAGUNA DLA BOGATYCH

Błękitna Laguna jest punktem obowiązkowym dla większości turystów, ale dość drogim. Turyści znają równie gorące i niebieskie źródło, w dodatku darmowe.

przed i kilka za nim była słoneczna pogoda, natomiast nad Vík wisiała gęsta chmura i kroił deszcz.

Okolica słynie z niezwykłych form skalnych i czarnej plaży, którą amerykański „Islands Magazine” zaliczył do grona 10 najpiękniejszych na świecie. Można z niej zobaczyć sterczące z Atlantyku skały przypominające palce. Legenda mówi, że skalne słupy to skamieniałe trolle, które nie zdążyły umknąć przed promieniami słonecznymi, gdy wyciągały łódź na brzeg.

Kilka kilometrów dalej, w Dyrhólaey, podziwiamy niesamowite kształty nadbrzeżnych skał. Najlepszy widok jest z przylądka, na którym w 1927 r. postawiono latarnię morską. Wzrok przykuwa fotogeniczny łuk, z dziurą w stromej skale. Podobno zdarza się, że przez nią przepływają łódki. To też miejsce wylęgania się ptaków, wśród których najbardziej charakterystyczny jest maskonur. Maskotki w jego kształcie można spotkać niemal w każdym sklepie z pamiątkami. – *To w połowie papuga, w połowie pingwin* – zażartował jeden z turystów.

ZACHODNIA STOLICA

Lądującym w Reykjavíku turystom wydaje się, że widzą całe połacie wrzosowisk pod sobą. Nic bardziej mylnego – to łupin, gatunek, który zasiedlił w obfitości szczególnie południowe obszary Islandii. Jest czerwcowy, słoneczny dzień, w niczym nieprzypominający tzw. angielskiej pogody. Mam podobno wielkie szczęście, bo w stolicy zazwyczaj jest





DIABELSKA WOŃ

Błotka w Hverir bulgoczą i parują, tworząc ciepłe białe opary o mało przyjemnym zapachu siarki.



FOT. AGNIESZKA MIKULIC

SYRENI ŚPIEW

Błaszana syrenka kusi, by zwrócić uwagę na niezwykłą posiadłość ekstrawaganckiego reżysera Hrafna Gunnlaugssona.

pochmurnie lub pada. Gdy wybieram się na wieczorną wędrówkę po mieście i zaczyna lekko kropić, wyciągam parasolkę. Wtedy starsza Islandka, u której mieszkam, uśmiecha się pobłaźliwie i mówi, że na wyspie nie używa się parasoli. Wyjaśnia, że z powodu bardzo silnych wiatrów ludzie zakładają tylko solidną odzież przeciwdeszczową.

Jeśli ktoś chce doświadczyć doby bez nocy, powinien koniecznie przylecieć do Islandii w czerwcu. O 22.00 obserwuję zniżające się ku zachodowi, mocno świecące słońce, w nocy czuję się jak w letnie, późne popołudnie w Polsce. Natomiast w zimie jasno jest tylko od 11.00 do 14.00, pozostałą część doby spowija ciemność. Dla odwiedzających wyspę może to być ciekawym doświadczeniem, ale dla mieszkańców to trudny czas. Spotkana



ŚCIANA JAK MALOWANA

W rękach Islandczyków ozywają mosty, ściany przetwórnymi i przyrodne kamienie ułożone w dziwne kształty.

Polka, która mieszka w Islandii już 9 lat, mówi, że życie przez kilka miesięcy w ciemności powoduje u wielu osób depresję. Opowiada o tutejszej zróżnicowanej Polonii, potwierdza wiarę w elfy wielu Islandczyków i z chęcią wprowadza mnie po mieście.

Zwiedzamy turystyczne miejsca: imponujący wysokością kościół Hallgrímskirkja, malownicze jezioro Tjörn z wzniesionym nad nim nowoczesnym ratuszem, przytulne stare miasto, srebrzyste muzeum Perlan z obrotową restauracją. Jednak najbardziej zapamiętam dwa, mniej znane. Niosą ze sobą skrajne emocje.

W centrum Reykjavíku znajduje się piękny sklep. Po wejściu do niego od razu przenosimy się do krainy dzieciństwa. Gra bożonarodzeniowa muzyka, kominek z kolorowymi



FOT. AGNIESZKA MIKULEC



FOT. AGNIESZKA MIKULEC

PRZEGRALI Z OCEANEM

Cmentarz marynarzy francuskich u podnóża fiordu Fáskrúðsfjörður. Rząd tego państwa nie szczędi funduszy, aby o nich nie zapomniano.

światłkami zachęca, by przy nim przystanąć, ozdoby choinkowe prezentują się na półkach, kuszą cukierki o wyszukanych smakach, renifer wygląda przez okno, a wszystko jest oświetlone ciepłym blaskiem dyskretnie ukrytych żarówek. Może komuś wyda się to kiczowate, ale pomyślałam, że gdybym żyła w stolicy Islandii i miała podły nastrój, przychodziłabym tutaj, by go zmienić.

Z bożonarodzeniowego miejsca przenoszę się do osobliwego domu na półwyspie Laugarnes w Reykjavíku. Początkowo miał to być teren, na którym składowano rekwizyty i elementy scenografii znanego islandzkiego reżysera Hrafna Gunnlaugssona. Stąd też wokół pełno blach, pordzewiałych prętów, dziwacznych kształtów, ławek, części maszyn. Wszystko tworzy surrealistyczną przestrzeń

wokół równie dziwnego domu, do którego artysta wprowadził się, jednak chętni mogą do woli przechadzać się po jego posiadłości i oglądać tę ekscentryczną galerię.

Kiedy buszowałam po tym niezwykłym terenie, liczyłam, że spotkam twórcę filmów „Hrafninn flýgur” czy „Hvíti vikingurinn”, jednak nie miałam tyle szczęścia, bo reżyser przebywał poza domem. O posiadłości napisałam nawet pracę magisterską, w której podkreślono, że właśnie tutaj niektórzy turyści mogą zaspokoić swoje niecodzienne pragnienia. Właśnie – pragnienia. Do Islandii wraca się myślami, planami... Następnym razem chcę doświadczyć tej krainy różnorodności, gdy zima zacznie przygotowywać się do przejęcia swych autorytarnych rządów na tym najmłodszym kawałku naszej planety. ◯



Agnieszka Mikulec

Animatorka kultury polskiej w kraju i za granicą. W podróżach nade wszystko ceni spotkania z ludźmi. Ma na swoim koncie publikacje dydaktyczne m.in. dla Narodowego Instytutu Audiowizualnego i wydawnictwa Rubikon.



KONIEC DNIA NAD ATLANTYKIEM
Ocean przed zachodem
w pobliżu portu Kribi w Regionie
Południowym Kamerunu.

Z GÓRKI DO OCEANU

Robert Gondek



Najniższy czterotysięcznik Afryki, jaki zdobyłem w ramach mojego projektu, znajduje się w Kamerunie i jest najwyższą górą tego kraju. To również jedyne miejsce na Czarnym Lądzie, gdzie w ciągu jednego dnia można z wysokości ponad czterech kilometrów zejść wprost nad wody Oceanu Atlantyckiego.

Mój plan kolejnej podróży na afrykański kontynent zakładał przede wszystkim wejście na ten szczyt, a jednocześnie zakończenie cyklu wędrówek na afrykańskie góry mierzące więcej niż cztery kilometry. Jedyne, co teoretycznie mogło zaburzyć ten zamiar, to pogoda, gdyż początek listopada to końcówka pory deszczowej.

W CIEMNOŚCI I MGLE

Górę Kamerun można wprawdzie zdobyć w jeden dzień, ale nam zależało na czymś



FOT. ROBERT GONDEK

innym. Chcieliśmy spędzić w parku narodowym prawie cały tydzień. Liczyliśmy na to, że nadarzy się okazja, by zobaczyć leśne słońce. Teoretycznie szansa była spora, bo Kamerun nie jest popularną górą. Rocznie w trekkingach bierze tu udział sześćdziesiąt razy mniej turystów niż choćby w rejonie Kilimandżaro. Mieliśmy nadzieję, że dzięki temu trafimy na te zwierzęta.

Był wczesny ranek. Pora deszczowa dawała się nieco we znaki. Wilgoć unosiła się w powietrzu i trochę padało. Bujna zielen gęstego lasu tropikalnego porastającego zbocza uprzyjemniała początek wędrówki. Dość szybko

pokonaliśmy 900 m podejścia do pierwszej górskiej chaty. Nadciągnął rześisty deszcz. Schroniliśmy się pod dachem i cierpliwie czekaliśmy, nie nudząc się. Na krzakach nieopodal gromadziły się piękne, kolorowe ptaki. Były to wikłacze przylądkowe, krasnorzytki maskowe i najpiękniejsze z nich – nektarniki oliwkowobrzuche. Miały na piórach wszystkie kolory tęczy!

Deszcz szybko przeszedł i ruszyliśmy dalej, opuszczając zalesioną okolicę. Drzewa zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znaleźliśmy się w rejonie z pojedynczymi, niezbyt wysokimi krzakami, gęstą trawą i coraz liczniejszymi skałami. Zza chmur wyszło słońce. Zrobiło się przyjemnie.

Zachód słońca nad Gwineą Równikową wyglądał zachwycająco, ale jednocześnie oznaczał, że zostało nam niewiele czasu do zapadnięcia całkowitych ciemności. Przyspieszyliśmy. To był najtrudniejszy tego dnia odcinek drogi, najbardziej stromy. Podczas wspinaczki trzymałem się traw i skał. Wypatrywałem białych malunków znaczących drogę. Nie byłem pewien, czy szedłem po szlaku. Straciłem z oczu Łukasza i zostałem sam. Nagle zobaczyłem światło. To była trzecia górská chata na trasie i zarazem miejsce, gdzie zamierzaliśmy nocować.

Emocje powoli opadały. Robiło się też zimno. Byłem na niemal 2800 m n.p.m. Nie miałem ze sobą nic poza mokrym ponczem w plecaku, ale nie miałem też wyjścia. Założyłem je i czekałem na resztę zespołu. Odetchnąłem z ulgą, gdy dotarli. Ogrzany przy ognisku, w suchym ubraniu i najedzony, mogłem w końcu unieść głowę, aby zobaczyć tysiące gwiazd skrzących się na bezchmurnym niebie. Gdzieś w oddali migotały światła Buéa, a nawet Douali.

Plan zakładał, że drugiego dnia staniemy na szczycie. Nazajutrz ruszyliśmy bez pośpiechu. Po pięknym, słonecznym poranku pozostało już tylko wspomnienie. Okolica tonęła w gęstej mgłę. Wzmógł się wiatr. Krople osadzały się na wszystkim. Nagle we mgłę dostrzegłem dwa kształty. Okazało się, że to turysta z przewodnikiem schodzili ze szczytu. – *Daleko na wierzchołek?* – spytałem. Niby proste, ale wiele się nie dowiedziałem. Kameruńczycy nie mają europejskiego wyczucia czasu, turysta również nie pomógł.

TAK SIĘ RODZĄ TALENTY

Mecz na plaży miejskiej w Limbe – Region Południowo-Zachodni. (Polska grała z Kamerunem trzy razy i ani razu nie wygrała).



TEMPO EKSPRESOWE

Przeładowany autobus na drodze z Somalomo do Jaunde. Ważniejszy jest ładunek, pasażerowie mają przecież nogi.

Widoczność nie przekraczała pięciu metrów, toteż od czwartej chaty postanowiliśmy trzymać się razem. Łatwo było zgubić szlak. Coraz mniej traw porastało wzgórze. Pojawiło się więcej skał i zastygłej lawy. Ale i one zniknęły. Został jedynie wulkaniczny pył. Brnęliśmy w nim jak w kopnym śniegu. Dookoła nie było nic widać. I nagle... stanęliśmy na szczycie.

Zdołałem najwyższy szczyt Kamerunu! Choć tym razem obyło się bez pięknych krajobrazów i widoków z góry. Mgła była jak mleko. Wiatr gnał chmury z ogromną prędkością. Mój aparat wyglądał, jakbym go wyjął spod prysznicy. Z brody, jedna po drugiej, skapywały krople wody. Oczywiście nie przeszkodziło to w uczczeniu sukcesu wniesionym na szczyt... ptasim mleczkiem.

Wystarczyły niecałe dwie godziny, aby pejzaż zmienił się diametralnie. Słońce i błękitne niebo! To, co nieprzyjemne, zostało za nami, na

górze. Nudne czarne rumowiska skalne zostały zastąpione przez łąki pełne falujących traw. Jedynie wiatr dął nieprzerwanie z ogromną siłą, jego porywy niemal nas wywracały. Po kolejnej godzinie słońce zaszło. Zrobiło się ciemno. Ostatni fragment trasy wiódł pośród zieleni sięgającej do ramion.

Gdy dotarliśmy do upragnionego obozowiska, odetchnąłem z ulgą. Zmęczył nas ten dzień. Nocą kilka razy się budziłem. Nie wiem, czy ze zmęczenia, czy pod wpływem emocji. Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. W końcu przyszła burza i sprawdzałem, czy namiot nie przecieka. O świcie nie wiedziałem już, czy to wszystko mi się śniło, czy zdarzyło naprawdę?

DESZCZ I KUPA SŁONIA

Trzeciego dnia weszliśmy do lasu. To była szansa na spotkanie zwierząt. Może słonia?



FOT. LUKASZ TOCH

Może małp? Może ptaków? Mieliśmy je tropić w drodze do kolejnego obozu. Tego dnia padało od rana. Było tak, jak sobie wyobrażałem, że musi być w lesie deszczowym. To była dżungla z moich wyobrażeń. Do tego bez turystów, bez łodzy, bez szlaków.

Przewodnik ciął maczetą wszystko dookoła. Szło mu sprawnie, ale i tak posuwaliśmy się bardzo wolno. Zarośla, korzenie, gałęzie, liany i drzewa. Wszędzie ślisko. Byliśmy mokrzy, choć już dawno przestało padać. Kurtka przeciwdeszczowa była zbędna, pot ciekł ciurkiem. Buty mieliśmy przemoczone, a spodnie do kolan umazane w błocie, a od góry mokre. Las deszczowy! Ale mieliśmy frajdę z tego marszu. Dżungla chwytiała za nogi i trzymała. Wyrzywałem się. Za chwilę gałęzie szykowały kolejną pułapkę. Znow trzeba było się wyrwać. Coś

zahaczało o plecak. Coś trzymało kijki. Coś łąpało za nogi. Dżungla z nami walczyła. A my z nią. Każdy krok dostarczał emocji.

Byliśmy w jednym z najbardziej deszczowych rejonów świata. Wioska Debundscha leżąca u podnóża góry Kamerun to jedno z pięciu miejsc na Ziemi, gdzie rocznie spada ponad 10 tys. mm wody na metr kwadratowy. (porównywalnie jest tylko w kolumbijskim Lloró, indyjskich Mawsynram i Czerapuńdzi oraz na hawajskiej górze Wai‘ale‘ale).

Kiedy z mozołem pokonywałem zwalony pień drzewa, spod stopy uniósł się rój owadów – tak małych, że ledwo je widziałem. Było ich mnóstwo, jakbym wszedł w chmurę. Skąd się tu wzięły? Obok leżała świeża kupa słońia! Rozejrzeliśmy się i nasłuchiwalismy. Może szedł przed nami? Jak dawno? Ostrożnie ruszyliśmy do przodu. Świeże ślady słoniowych nóg były dobrze widoczne w błocie. Szliśmy i wypatrywaliśmy trąby albo ogromnych uszu.

Byliśmy ostrożni, bo jak wiadomo, ze słoniem nie ma żartów. Podobno trzeba uciekać na drzewo albo stanąć nieruchomo. Niestety, ślad się urwał i na kemping dotarliśmy bez przygód.

Las deszczowy skończył się szóstego dnia. Nie zobaczyliśmy słoni. Ale nic nie szkodzi, i tak była to niezapomniana wędrówka. No i zesłiliśmy nad sam ocean. Takie rzeczy tylko w Kamerunie!

DZIELNE GUMOWE MINIBUSY

Afrykańskie dworce autobusowe to miejsca, gdzie tętni życie i w których należy uzbroić się w cierpliwość. Z jednej strony chaos. Ruch. Zamieszanie. Naganiacze i handlarze. Wędrowni sprzedawcy wszystkiego. Krążą pomiędzy podróżnymi i oferują swoje towary. Wystarczy siedzieć i czekać. Sprzedawca butów z trampkiem na głowie. Sprzedawca leków oraz wódki w torebkach i baniakach. Sprzedawca świecidełek, loterii, gazet, pasków, chińskich głośników, koszul, używanych t-shirtów, grzebieni, orzeszków i telefonów komórkowych. Jeśli w ciągu godziny nie przyjdzie do nas ktoś z towarem, powinniśmy się zacząć zastanawiać, czy wszystko z nami w porządku. Ale na pewno przyjdzie.

OBSERWATORKA

Jaszczurka agama czerwonogłowa (30–45 cm) z Parku Narodowego Góry Kamerun uważnie śledziła ruchy wyprawy.



FOT. ROBERT GONCEK

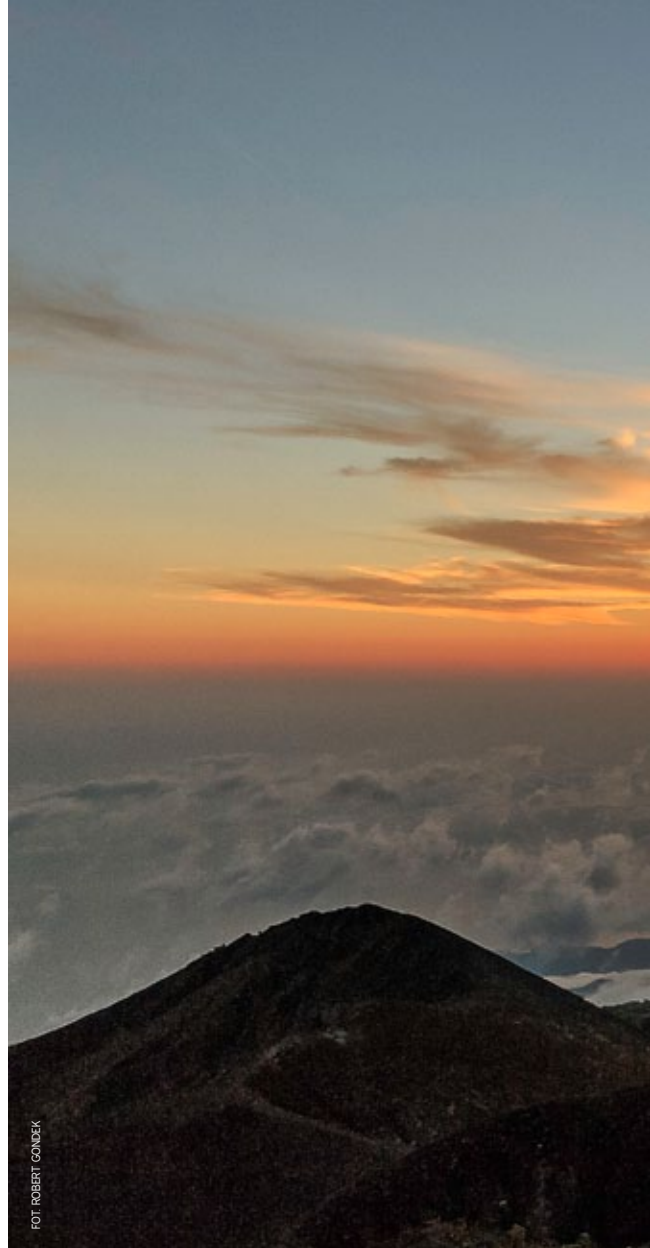
Usiedliśmy w barze na dworcu w Jaunde, stolicy Kamerunu, i oddaliśmy się nicnierobie-niu. Tak po prostu. Siedzieliśmy i czekaliśmy. Tu zawsze na coś się czeka. A jak nie ma na co czekać, to czeka się na nic. My akurat wiedzieliśmy, na co czekamy. Autobus do Somalomo miał przyjechać o 13.00. Czas płynął. Minuty, godziny. Piliśmy colę. Czekaliśmy. Obserwaliśmy toczące się dworcowe życie. Minęła godzina 13.00. Nikt się nie podniósł. Nikt nie protestował. Po prostu nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Trzeba było czekać.

Po pół godzinie ktoś odkręcił koło w minibusie, którym mieliśmy podróżować. Ktoś inny zaczął grzebać przy silniku. Ktoś zaczął układać konstrukcję z bagaży na dachu. Baniaki z paliwem, pudła, skrzynki, nasze plecaki. Autobus miał zabrać 19 osób. Zastanawialiśmy się, ile zabierze tym razem. Minęła 14.00. Ludzie szykowali się, by powoli zajmować miejsca.

Koła wciąż jednak nie było. Bagaże zostały przykryte folią, co mogło oznaczać, że przygotowania do wyjazdu weszły w końcową fazę. Dwóch pomocników zaczęło się krzątać przy kole, popijając kolejne szaszetki z rumem i whisky. Ruszyliśmy o 15.00. Tylko dwie godziny opóźnienia. Tylko dziesięć osób. Podejrzanie mało. Radość nie trwała długo. Zaraz za dworcem dosiadali się kolejni pasażerowie.

HUMOR ZDOBYWCÓW

Przy ognisku w jednym z obozowisk podczas podchodzenia.



Cieszyliśmy się, że kameruńska muzyka płynąca z podświetlanego głośniczka zagłusza większość hałasów. Nie słyszałem stukotu, trzasków i innych dźwięków dochodzących z wnętrza pojazdu. Dzięki temu wierzyłem, że minibus nie rozleci się po drodze.

W Messamenie dosiedli się kolejni ludzie. Osiągnęliśmy maksymalną pojemność: na pokładzie znajdowały się dwadzieścia trzy osoby plus kurczak.

Najpierw na drodze pojawiły się kałuże, potem ugrzęźliśmy w błocie. Do pewnego momentu kierowca w tylko sobie znany sposób manewrował skutecznie między jeziorkami i potokami, w końcu jednak stanęliśmy na dobre. Autobus przechylił się na bok.



CO WIDAĆ PRZED META

Wieczorny widok ze zbocza góry Kamerun jeszcze przed dotarciem na szczyt.

Ludzie wysiedli i wypchnęli pojazd z błota. Nad lasem rozpętała się burza. To była potężna, tropikalna ulewa. Przez dziurawy dach i szparę przy drzwiach do wnętrza autobusu wlewała się woda. Zapowiadało się coraz ciekawiej. Znow stanęliśmy i autobus jeszcze raz się przechylił. Nasze drzwi zostały zablokowane. Musieliśmy wysiadać od strony kierowcy. Niewiele brakowało, a pojazd położyłby się na boku. Bujanie nic nie dało. Autobus zawisł. Do Somalomo dojechaliśmy ostatecznie po dziesięciu godzinach.

Droga powrotna zapowiadała się równie ciekawie. Na dachu umieszczono nieprawdopodobną ilość ładunków. Banany, żywe ryby w wielkich miskach, torby, walizy. Kabina najwyraźniej była z gumy. Zabraliśmy

do środka dwadzieścia sześć osób plus dwie na dachu. Jechaliśmy wolno wąską pomarańczową dróżką wśród gęstej zieleni. Coś stukało. Kierowca wyjrzał przez okno i niewzruszony jechał dalej.

Nagle usłyszeliśmy huk. Minibusem szarpnęło. Przerażony kierowca zahamował. A może pojazd sam się zatrzymał? Odpadło nam koło. Mieliśmy szczęście, że jechaliśmy tak wolno. Kierowca zabrał się za naprawę. Młotek, klucz, kawałek drewna i podnośnik wystarczyły. Koło wróciło na swoje miejsce, a my do autobusu. Ta podróż dała nam się we znaki.

Wędrowanie po Afryce uczy i dlatego – oprócz kolekcjonowania czterotysięczników – wciąż z chęcią wracam na ten kontynent. ○



Robert Gondek

Podróżnik, fotograf, miłośnik Afryki. Autor wystaw i licznych pokazów podróżniczych. Prowadzi projekt „W drodze na najwyższe szczyty Afryki”, mający na celu zdobycie najwyższych szczytów w każdym afrykańskim kraju. Kolekcjonuje afrykańskie maski. Uczy się języka suahili. www.szczytyafryki.pl

PERŁY OCHRYDZKIE

Mieczysław T. Starkowski





PHOTOSTOCK



W tym tygłu mieszają się różne kultury, tradycje, religie. Niemal na każdym kroku czeka tam przygoda. A do tego jest tym ciekawiej i przyjemniej, bo Macedończycy bardzo lubią nas, Polaków.



FOT. MECZYSLAW T. STAROWSKI

U ŚWIĘTEGO NAUMA

Klasztor w Sveti Naum, założony w 905 r. przez św. Nauma – ucznia Cyryla i Metodego. Był on też współtwórcą ochrydzkiej szkoły piśmienniczej – jednego z najważniejszych centrów kultury i literatury słowiańskiej tamtych czasów.

Miejsce jest bez wątpienia przepiękne, a w lipcowe południe bardzo ciepłe, choć nie upalne. Wieje przyjemny wiaterek. Woda w jeziorze skrzy się promieniami słońca. Tuż obok, na wzgórzu, ulokowała się starówka – jedna z perełek tego regionu, a może nawet i Europy. Pijemy kawę na brzegu Jeziora Ochrydzkiego i jak w całej Macedonii, espresso jest świetne. I niedrogie.

– *Nielatwo nam się żyje, mamy trudnych sąsiadów* – wzdycha ciężko Aleksandar. Choć wiem, że mój rozmówca ma rację, to w tak pięknym otoczeniu trudno turyście uwierzyć w te narzekania.

Ochrydzkie stare miasto znalazło się na liście światowego dziedzictwa. Miejsce to wyróżnia się także tym, że jest jednym z 28 wpisanych na tę listę zarówno z powodu dziedzictwa kulturowego, jak i przyrodniczego.

Z MACEDONII DO... MACEDONII

Chcąc lepiej zrozumieć specyfikę Bałkanów, zaczynamy podróż w Salonikach, stolicy greckiej prowincji Macedonia. Potem pociągami do Floriny. I tutaj... pierwsza niespodzianka, znakomicie ukazująca złożoność sytuacji w tym regionie. Oto do pobliskiej Bitoli (w Republice Macedonii) nie ma wcale publicznego transportu. Pozostaje taksówka za 40 euro. Na szczęście jest nas czworo, a więc stawka na głowę okazuje się do wytrzymania.

Potem ciąg dalszy zaskoczeń – greccy pogranicznicy zupełnie się nami nie interesują. Macedońskich sami nagabujemy o pieczętki w paszportach (a właściwie robi to za nas taksówkarz): po pierwsze, opuszczamy Unię Europejską, a więc nie wiadomo, co się może zdarzyć, poza tym – byłaby jakaś pamiątka. Tymczasem nie możemy się nadziwić, że nikt na nas nie zwraca uwagi.

Pierwszy raz w życiu przekraczam granicę taksówką i pierwszy raz ktoś inny – właśnie taksówkarz – załatwia za mnie graniczne formalności.

TAJEMNICA ENDEMICZNYCH RYBEK

Mieszkamy na skraju położonego w górach Parku Narodowego Galiczyca. Zwiedzanie okolic zaczynamy od wsi Końsko. Słyszeliśmy o ciekawych zabudowaniach, a więc spodziewamy się skansenu. Okazuje się, że są to po prostu stare chałupy. Miejscowość jest bardzo zniszczona i prawie opuszczona. Jak się dowiadujemy od pewnej sędziwej mieszkanki, pozostało tu około dziesięciu starszych osób.

Mamy piękny apartament na zboczach góry, z panoramą na jezioro. Woda w nim przejrzysta i nie za ciepła, pływa się znakomicie. A widok z wody na góry jest niesamowity. Naturalnie później trzeba się wspinać do domu stromą drogą, ale spojrzenie z tarasu zapewnia wrażenia, które wynagradzają wszelkie trudy.

Jezioro Ochrydzkie jest jednym z najstarszych na świecie. Żyje tu wiele unikatowych, endemicznych gatunków, m.in. ochrydzki pstrąg. Obowiązuje całkowity zakaz jego połowu, ale Macedonia nie może się dogadać w tej

sprawie z Albanią, gdzie łowić go nie wolno tylko w okresie tarła.

To jezioro „rodzi” słynne ochrydzkie perły. Jak głosi lokalna legenda, w 1928 r. Mihajlo Filev, dziadek obecnego szefa firmy Ohrid Pearl Filevi, poznał w swojej restauracji tajemniczego gościa z Rosji. Panowie zaprzyjaźnili się i pewnego dnia, spacerując brzegiem jeziora, spotkali dwóch rybaków, którzy niesli kosze płaszcz – małych endemicznych rybek żyjących w jeziorze. Gość zdradził wtedy Michajle sekret produkcji pereł, przywieziony znad jeziora Bajkał.

Od tej pory szczegóły tej technologii przechodzą z ojca na syna, pozostając rodzinną tajemnicą. Wiadomo tylko, że perły wyrabia się z łusek płaszczicy. Nazywa się je perłami ochrydzkimi, a są z pewnością najbardziej specyficznymi miejscowymi pamiątkami. Przy zakupie należy jednak poprosić o certyfikat, bo są one masowo podrabiane.

DOMY SZERSZE U GÓRY

Ochryda jest miastem niewielkim, ale bardzo starym i niezwykłym. Do niewątpliwych atrakcji należą tu liczne cerkwie, rzymski

amfiteatr, ruiny potężnej wczesnośrednio-wiecznej twierdzy cara Samuela, a także dawna turecka część miasta. W wielu miejscach nadal trwają prace archeologiczne. Po wąskich uliczkach można chodzić godzinami. Podczas pobytu w pobliskiej wsi Końsko wracamy do miasta wielokrotnie.

Przy ulicy cara Samuela znajduje się Muzeum Narodowe – skromne, ale bardzo interesujące. Ciekawy jest niewielki skarbiec, w którym są eksponowane wykopaliska archeologiczne, w tym złota maska z grobu dziecka. To jeden z symboli miasta, którego kopie można kupić niemal w każdym sklepie z pamiątkami. Poza tym jest prezentowane XIX-wieczne wyposażenie domu braci Konstantina i Atanasa Robewów – bogatych kupców, którzy przekazali swoją nieruchomość państwu.

Budynek jest charakterystyczny dla Ochrydy – rozszerzający się ku górze. Jest takich w mieście wiele, albowiem chodziło kiedyś o to, aby zajmowały one jak najmniejsze działki.

W sąsiednim budynku jest warsztat, w którym ręcznie produkuje się papier. To jedno z siedmiu miejsc na świecie, gdzie odtwarza się oryginalny chiński proces z II w. p.n.e.

IKONA MACEDONII

Cerkiew św. Jana Ewangelisty z XIV w. Stoi na krańcu cypla, na wysokiej skale, a widok z góry na świątynię i jezioro zapiera dech i kojarzy się z niepowtarzalną Macedonią.



TYSIĄC LAT CHRZEŚCIJAŃSTWA

Niemal na każdym kroku mamy do czynienia z kulturą chrześcijańską. Jej tradycje sięgają zresztą bardzo dawnych czasów, świadcząc o długiej i bogatej historii tych ziem. Na przykład arcybiskupstwo w Ochrydzie zostało ustanowione równo tysiąc lat temu. Sobór arcybiskupi świętej Zofii, największa świątynia w mieście, robi naprawdę duże wrażenie. Zwraca uwagę sama bryła, a tym bardziej wspaniale zachowane XI-wieczne freski. Przewodnik opowiada, w jaki sposób były ratowane, a my podziwiamy efekty. Twierdzi przy tym, że to największe na świecie malowidła z tego okresu. Co ciekawe, przedstawiają one m.in. portrety kilku papieży, co jest ewenementem.

Wspinamy się jeszcze wyżej, na wzgórze Plaošnik, a naszym oczom ukazuje się XIV-wieczna cerkiew św. Jana Ewangelisty z Kaneo. Stoi na krańcu cypla, na wysokiej skale nad wodą. Widok z góry na świątynię

i jezioro zapiera dech i ma w sobie coś z magii. To jedna z ikon Ochrydy i całej Macedonii.

Do ciekawszych obiektów należą też sąsiadujące ze sobą cerkwie św. Mikołaja i Najświętszej Bogurodzicy. Pierwsza z nich jest podobno jedynym kościołem prawosławnym na Bałkanach, na którym znajduje się mała dzwonnica. Do dzisiaj zachowały się w nich piękne freski.

Prawie wszędzie bilet wstępu kosztuje 100 dinarów (równowartość około 7 zł). Jest to cena niemal zryczałtowana, obowiązuje w wielu obiektach. W każdym dostajemy śliczne kolorowe bilety. Powstaje z nich ciekawa, barwna kolekcja.

ZATOKA KOŚCI

Na centralnym placu Ochrydy, przy promenadzie ciągnącej się wzdłuż brzegu jeziora, na wysokim maszcie powiewa dumnie wielka flaga Macedonii. Nieopodal znajdują się trzy potężne pomniki z brązu: św. Klemensa Ochrydzkiego, św. Nauma Ochrydzkiego

PSTRĄG BARDZO STAROŻYTNY

Jezioro Ochrydzkie jest jednym z najstarszych na świecie, toteż żyje tu wiele unikatowych, endemicznych gatunków, m.in. słynny pstrąg ochrydzki.



Cudotwórcy oraz św. św. Cyryla i Metodego. To oni, jako misjonarze, mieli m.in. ogromny wpływ na rozwój kultury we współczesnej sobie południowej Europie. Ukształtowali również tożsamość dzisiejszej Macedonii.

Trudno zatem nie wybrać się do miejscowości Sveti Naum, gdzie współtwórca ochrydzkiej szkoły piśmienniczej w 905 r. założył klasztor. Pięć lat później został tu pochowany. Obecnie jego grób znajduje się w XVI-wiecznej cerkwi i jest celem licznych pielgrzymek. To również jeden z symboli Macedonii.

Skoro jesteśmy tuż przy granicy z Albanią, korzystamy z okazji i wybieramy się do najbliższego miasta Pogradec. Wcześniej przeczytaliśmy w internecie, że można przekroczyć granicę ścieżką wiodącą nieopodal klasztoru. Ale macedoński żołnierz twierdzi, że obecnie nie jest to możliwe, pozostaje więc taksówka. Na przejściu granicznym podobna procedura jak na granicy Grecji z Macedonią: taksówkarz zabiera nasze paszporty i sam wszystko załatwia. Nami nikt się nie interesuje.



W Pogradecu wykorzystujemy miejscowe przepisy, różne od macedońskich. Ciekawość świata pokonuje nasze proekologiczne poglądy. Tu wolno łowić wspomniane pstrągi ochrydzkie, a więc nie potrafiemy ich sobie odmówić. Są rzeczywiście inne, a upieczone na różnie – naprawdę znakomite.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w Muzeum na Wodzie w Gradiste. Zwiedzamy rekonstrukcję osady wzniesionej na platformie ułożonej na palach wbitych w dno jeziora w epoce brązu. Oglądamy kilkanaście chat pokrytych strzechą i ich prawdopodobne wyposażenie. Po tym, co do tej pory odkryto, miejsce nosi też nazwę Zatoki Kości. Naukowcy macedońscy nadal prowadzą tu badania, wspólnie z pracownikami Uniwersytetu w Bernie. Przechodzimy też do pobliskiego miejsca, gdzie w pierwszych wiekach naszej ery znajdowało się obozowisko rzymskich legionów – *castrum*.

ODROBINA BIMBRU BEZ PODATKU

Niemal na każdym kroku doznajemy przejawów niezwyklej stosunku Macedończyków do nas, Polaków. Gdy tylko usłyszą język

PATRONI

Pomnik św. św. Cyryla i Metodego, którzy m.in. ukształtowali tożsamość dzisiejszej Macedonii. Jako misjonarze mieli ogromny wpływ na rozwój kultury chrześcijańskiej na naszym kontynencie. W 1980 r. Jan Paweł II ogłosił ich, obok św. Benedykta, patronami Europy.





FOT. MECZYSŁAW T. STARONOSKI



FOT. MECZYSŁAW T. STARONOSKI



FOT. SHUTTERSTOCK

ŻYCIE W KOŃSKO

W biednej i prawie opuszczonej wsi Końsko. Pozostało tu około dziesięciu starszych mieszkańców, ich psy i owieczki. Młodzi uciekli do miast lub za granicę.

polski, reagują bardzo serdecznie. Są uczynni, chętnie pomagają. Ze znajomością angielskiego bywa różnie, dlatego często warto mówić po prostu po polsku, bo w ten sposób ze Słowianami stosunkowo łatwo się dogadać.

Poza tym czujemy się tu znakomicie z kilku innych powodów. Choćby ze względu na wszechobecny luz, by nie powiedzieć – nonszalancję. Na przykład przy drodze wzdłuż Jeziora Ochrydzkiego nie ma wyraźnie zaznaczonych przystanków autobusowych, a tym bardziej – rozkładów jazdy. W miejscowościach i przy zjazdach do większych hoteli są zatoki, a więc domniemuje się, że można tu zatrzymać autobusy. Od miejscowych dowiadujemy się, że jeżdżą one co pół godziny, a w środku dnia nawet rzadziej. Naturalnie

wiedzą o tym doskonale taksówkarze, którzy proponują kurs za cenę biletu autobusowego lub niewiele drożej.

Gospodarz mówi nam, że w Macedonii można produkować napoje alkoholowe w domu i niewielkie ilości sprzedawać bez podatku. Próbuje dwóch, dostarczonych przez sąsiada: 54-procentowej brandy i 65-procentowego ouzo. Oba znakomite. A gospodarz twierdzi, że bywają i mocniejsze.

TRUDNE SĄSIEDZTWO

Jak już wspomniałem, dobrym wyborem trasy do Macedonii jest start w Salonikach. W centrum miast podziwiamy wielki konny pomnik Aleksandra Wielkiego (Macedońskiego),



DACHY OCHRYDY

Jest to miasto stare i niezwykle. Oprócz licznych cerkwi znajdziemy tu m.in. rzymski amfiteatr oraz ruiny potężnej wczesnośredniowiecznej twierdzy cara Samuela. A nad samym jeziorem – współczesną, turystyczną część miasta, pokrytą czerwonymi dachami.

obok też macedoński dom kultury. Nie ma tu nic greckiego, wszystko macedońskie. Oczywiście przesadzam, ale to bardzo rzuca się w oczy.

Stosunki Macedonii z Grecją są napięte. Od dawna wprawdzie toczą się rozmowy w celu poprawy relacji, ale są one bardzo trudne. Mówi się m.in. o zmianie nazwy Republiki Macedonii na Republikę Macedonii Północnej. Jednak wielu Greków nawet to nie przekonuje. Ich zdaniem poza Grecją słowo Macedonia ma w ogóle zniknąć. W ciągu naszego kilkudniowego pobytu w Salonikach byliśmy świadkami dwóch demonstracji w tej sprawie. Grecy robią przy tym, co mogą, by utrudnić Macedończykom życie. Na przykład starają się nie dopuścić

do członkostwa republiki w Unii Europejskiej i NATO. W lipcu tego roku ponieśli jednak porażkę, bo podczas szczytu Pakty Północnoatlantyckiego w Brukseli Macedonia otrzymała oficjalne przyrzeczenie, że może starać się o akcesję.

Ale swoje pretensje wobec Macedończyków mają w zasadzie wszyscy sąsiedzi: Albańczycy, Serbowie, a także Bułgarzy. Dlatego w niektórych krajach używa się tymczasowej nazwy Była Jugosłowiańska Republika Macedonii.

Narzekający na sąsiedztwo Aleksandar miał więc trochę racji. Żyje im się niełatwo. Ale za to w urodziwym otoczeniu, gdzie turystom – zwłaszcza z Polski – nic i nikt nie przeszkadza. ○



Mięczyśław T. Starkowski

Dziennikarz, publicysta, felietonista. Uwielbia poznawać nowe miejsca. Fascynują go zabytki i przyroda, ale przede wszystkim interesują go poznani przy okazji ludzie. Pasjonuje się historią, jednak patrzy też w przyszłość. Na Facebooku prowadzi grupę Polacy nieznanymi (zapomniani).



TAJEMNICE

Anna Dąbrowska

KOCIEJ WYSPY



FOT. SHUTTERSTOCK



W Japonii koty są wszędzie. Nie trzeba internetowych memów, żeby móc uśmiechać się prawie na każdym kroku. Przybyszowi towarzyszą nie tylko mające nieść szczęście figurki Maneki Neko, ale także cała kocia armia dosłownie wszystkiego – zdjęć, ubrań, maskotek, przedmiotów codziennego użytku, plakatów. Przestrzeń społeczna jest pełna kocich śladów. Nie sposób się od nich uwolnić.

Poranny prom na Aoshimę ma zaszczytne powitanie – na spotkanie biegną ku niemu dwa rude koty. Ogonki w górze, łapki szybko przebiegają po trapie. Wizyta promu to zapowiedź śniadania godnego mistrzów – suszone rybki sypią się obficie, a stado futrzaków zapamiętałe wcina posiłek. Słychać tylko pomruki zadowolenia. Jesteśmy na kociej wyspie, jednej z dwóch, którymi może się poszczycić Japonia. O tym, że to dom mruczków różnej maści, świadczy jeszcze jedna rzecz – specyficzny zapach, który nasila się przez gorące powietrze. Śmiało można powiedzieć,

który codziennie dwa razy przybija do wybrzeża. To dziś spokojna enklawa służąca za dom jedynie dziesięciu osobom. Średnia wieku to 75 lat. W latach 40. ubiegłego wieku wyspiarzy było przeszło 900 – żyli z tego, co dało im morze, lub pływali do pracy na najmniejszą z czterech głównych wysp Japonii, Sikoku. Jednak duże firmy połowiąjące w tym rejonie szybko wykluczyły z wąskiego rynku indywidualnych rybaków. Zabrakło pracy i pieniędzy, więc Aoshima zaczęła się wyludniać. Mieszkańcy przenieśli się na większe wyspy. Większość z nich nigdy nie wróciła. Ich miejsce zajęły koty, dziś stanowiące grupę



FOT. ANNA D. BEROMSKA

PRZYSMAK PŁYNIE!

Koty z przystani doskonale wiedzą, że przybycie promu oznacza ucztę – marynarze i turyści zawsze coś dla nich mają.

że Aoshima to miejsce niezbyt przyjazne dla zbyt wrażliwego zmysłu powonienia. Zejdźmy na ląd.

OPANOWANA PRZEZ MRUCZKI

Aoshima w prefekturze Ehime to samotna wyspa ulokowana na północny zachód od Sikoku. Można do niej dopłynąć promem,

ponad stu osobników. Obecnie na jednego mieszkańca wyspy przypada więc co najmniej 10 futrzaków.

W dawnych czasach koty mieszały na Aoshimie dlatego, że ich obecność gwarantowała brak myszy lub szczurów na pokładach kutrów rybackich oraz w okolicach przystani. Jednak im mniej było mieszkańców, tym bardziej rozrastała się kocia populacja, której obecnie bardzo trudno upilnować.

Zwierzęta gromadzą się głównie w porcie.

Dla nich statek to przede wszystkim źródło pożywienia.

Marynarze i turyści, którzy przybywają na wyspę, zawsze mają małe co nieco dla pustych kocich brzuszku.

Mówi się, że kot mógłby ciągle jeść. Na Aoshimie zwierzęta są po prostu głodne. Brakuje im naturalnych ofiar, a mieszkańcy dokarmiają je w ograniczonym zakresie. Na wyspie nie ma sklepu, nie ma nawet tak powszechnych w Japonii maszyn z napojami, a pocztę i leki przywozi prom. Przy słabej aprowizacji i przy korzystaniu z samodzielnie hodowanych zapasów trudno wykarcić okazałe stado zwierząt. I trudno też należycie zadbać o ich zdrowie. Koty nie są wysterylizowane,

więc się mnożą. Maluchy, przeważnie chore od pierwszych dni życia,

stanowią smutny obraz ludzkiej bezsilności. Koci katar widoczny gołym okiem, niewyleczone rany i ropiejące oczy – bez dobrze zorganizowanej weterynaryjnej interwencji zwierzęta nigdy nie wrócą do zdrowia.

W internecie natomiast można znaleźć informacje, że koty z Aoshimy mają mieć lepszą opiekę w przyszłości, bo ich problemy są znane władzom prefektury Ehime. Kiedy się to stanie? Nie wiadomo.

Trudno opuścić przystań w Aoshimie. Koty płaczą się pod nogami, obwąchują bagaże, jeden odważny rozkłada się na kłapie plecaka. Wszystkie rzeczy osobiste można zostawić w portowej poczekalni, ale trzeba szczelnie zamknąć drzwi, bo ciekawskie futrzaki o zwinnych łapkach wykorzystają nawet najmniejszą szparkę, aby wejść do środka i sprawdzić, czy turyści nie mają ze sobą czegoś do jedzenia, niekoniecznie dla kotów.

Większość zwierząt jest ruda lub biało-ruda. Wiele z nich rodzi się z krótkimi ogonkami. Nic dziwnego – od lat jest to ta sama mieszanka genów, więc trudno o większą różnorodność. Można też założyć, że część chorób jest dziedziczna.

Im dalej w głąb wyspy, tym mniej kotów. To przystań jest dla nich najciekawsza. Jednak trzeba patrzeć pod nogi, aby nie nadepnąć jakiegoś malucha. Małych kotków na Aoshimie jest pełno. Dla nich pierwsze tygodnie życia są najtrudniejsze. Starają się przetrwać, mimo chorób dręczących stado. Nie wszystkim się to uda. Młode kociaki uciekają przed upałem, starsze zresztą też. W plastikowej szufelce, w koszu, ukryte w cieniu świątynnych ścian wyczekują wieczora, który przynosi ledwie wyczuwalne ochłodzenie. Czekają też na popołudniowy prom – to druga porcja



DZIESIĘĆ NA JEDNEGO

Na wyspie mieszka ponad setka kotów. Ludzkich mieszkańców jest zaledwie dziesięcioro, a średnia wieku wynosi 75 lat.

FOT. ANNA DĄBROWSKA

jedzenia od marynarzy i nadzieja, że ze statku zejdzie choć kilkoro turystów z kocimi chrupkami.

Z PRZEWODNICZKĄ TRIKOŁORKĄ

Aoshima to nie tylko koty. To też domostwa. Przyzwyczajona do japońskiej wysokiej jakości właściwe w każdym aspekcie życia, obserwuję, że na wyspie wszystko raczej chyli się ku upadkowi. Zanedbane domy, nieuporządkowane ogródki, porzucone budynki. Powszechna jest blacha falista służąca do uszczelniania i zabezpieczania ścian. Brak ludzkich głosów, cisza, którą przerywa wibrująca muzyka cykad. Nieznośny upał. Niektóre domy opanowała roślinność. Spod kaskady liści wyglądają zakurzone okna i wypadające z framug



FOT. ANNA DIERONWSKA

KOTOKRACJA

Pod suszącymi się sieciami, schowane w cieniu, na chłodnych schodach lokalnej świątyni – koty opanowały wyspę, to one rządzą Aoshimą.

drzwi. Aoshima jest tworem z dalekiej przeszłości. Niegdyś dobrze prosperująca wyspa, dziś miejsce, w którym wyraźnie wyczuwa się pustkę, którą dodatkowo podkreślają pamiątki z dawnych czasów.

Na wzgórzu jest szkoła, jedna z dwóch, w których przed laty kształcili się najmłodszy mieszkańcy wyspy. Przewodnikiem po pustych pomieszczeniach jest eteryczna koteczka trikolorka. Razem zaglądamy do dawnych sal lekcyjnych, w których na podłogach leżą byle jak rzucone pomoce naukowe. Z pewną niepewnością wchodzę po opadających z tynku schodach, żeby dowiedzieć się, że piętro wygląda podobnie jak parter. Zakurzone atlasy geograficzne, tablice, na których ktoś napisał słowa w niezrozumiałych dla mnie znakach, pianino z wybitymi zębami klawiszy, kuchnia pełna pokrytych pyłem naczyń,

biurko zasypane papierami, drewniany model statku rzucony na podłogę. Budynek nie jest do niczego potrzebny, na wyspie nie ma ani jednego dziecka.

Wspinam się jeszcze wyżej, aby rzucić okiem na otaczający Aoshimę krajobraz. Dookoła tylko morze, niebo i palące słońce. Horyzont składa się z zespolonych ze sobą niebieskich płaszczyzn.

POWRÓT PANI YUKIKO

Aoshima to jedna z dwóch kocich wysp w Japonii. W przeciwieństwie do rozreklamowanej Tashirojimy nie ma do zaoferowania turystom żadnej bazy noclegowej czy gastronomicznej. Jednak w krajobrazie tego, zdawałoby się, uspionego miejsca jest jeden mały punkt – kocia kawiarnia pani Yukiko, która po latach nieobecności wróciła na wyspę. Pani Yukiko powoli i własnymi siłami tworzy maleńką przystań dla miłośników kotów. W jej ogródku stanął nieduży bungalow dla gości, a główny pokój domu pełni funkcję kawiarni. W przyziemnym wnętrzu, na matach tatami, można się trochę zrelaksować i odpocząć od upału.

Pani Yukiko wyjechała z wyspy, kiedy miała 16 lat, a dziś jest niewiele po sześćdziesiątce. Wówczas brakowało pracy i ludzie powoli opuszczali Aoshimę. Nieudane małżeństwo, dwie córki i praca zawodowa zatrzymały ją na wiele lat na Honsiu, głównej wyspie Japonii. Gośćmi w kawiarni są głównie Japończycy. Turystów z innych części świata, którzy tu trafili, można policzyć na palcach jednej ręki. Ale ścianę w kuchni wypełniają fotografie wszystkich, którzy mniej lub bardziej przypadkowo przekroczyli jej próg. Pani Yukiko stara się wykorzystać koci magnetyzm Aoshimy i stworzyć miejsce, w którym można zostać na noc, zjeść, pobyc z kotami. Tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju – czy pani Yukiko zostanie na wyspie? Na jak długo? Czy ktoś ją kiedyś zastąpi? Bo to, że za kilka lat Aoshima będzie wyspą pełną wyłącznie kotów, jest niemal pewne. Pani Yukiko przynosi lody i prosi, żeby nie przejmować się potwornym robakiem na długich nogach, który bezgłośnie znika za masywną szafą. Przez miarowy szum wiatraka przebijają się co chwilę kocie pomiaukiwania. Do promu powrotnego zostało niewiele czasu.



FOT. ANNA DĄBROWSKA

Późne popołudnie to dla kotów czas wypoczynku, a mieszkańcy wyspy wychodzą z domów, ponieważ do przystani dobija druga tego dnia łódź. Wszyscy się znają – obsługa promu wie, do kogo przysły listy i paczki. W miniaturowej społeczności wzajemna serdeczność i sympatia są bardzo ważne. Dwie starsze kobiety na schowanej w cieniu ławce, pan z notesem, ekipa remontowa, która po całym dniu pracy przy sieci elektrycznej na wyspie wraca na Sikoku, kilkoro turystów i nagle w przystani robi się gwarno jak w centrum japońskiej metropolii. Ale tylko na chwilę. Kiedy prom odbije od brzegów Aoshimy, zostanie na niej tylko dziesięcioro mieszkańców i ogromne stado kotów przemykające bezgłośnie na miękkich łapach.

KOT KONTRA CZŁOWIEK?

Kocie małeństwo na betonowej ścieżce – ruda kuleczka głośno wzywa pomocy. Nic dziwnego, wszak jest upalnie, a maluch na pewno jest głodny. Mądra kocia matka ujmuje dzieciaka za futro na karku i przenosi do cienia. Zaraz

potem rozpoczyna się obowiązkowa kąpiel – kocie raz po raz otrzymuje czułe, choć stanowcze, długie liźnięcia szorstkim językiem.

Tę troskliwość wykorzystała największa japońska firma dostawcza Yamato Transport, która w swoim logo umieściła kotkę z oseskiem w pyszczku. Skuteczność dostaw na czas – na pewno sto procent. Kot w Japonii ma bogatą symbolikę, od stuleci jest chętnie trzymany w domu zwierzęciem. Kocie figurki Maneki Neko są praktycznie wszędzie – mają zapewnić szczęście i dobrobyt, są także częstym podarunkiem ślubnym. Aoshima powinna być więc szczęśliwą wyspą. Za jakiś czas będą tam tylko koty. Oto jeden z nielicznych na świecie przypadków, gdzie przyroda prawdopodobnie wygra z człowiekiem, a niepilnowana porośnie dziką i ściśle utkaną zielenią budynki i chodniki. Czy kiedyś będzie to prawdziwe królestwo kotów? Czy kot może żyć bez człowieka? A człowiek bez kota? Z promu ostatni raz spoglądam na Aoshimę i soczystą zieloność, która ze wzgórz spływa ku wodzie. Pod powiekami mam jeszcze rudą kulkę, którą troskliwa mama niesie przed siebie w bezpieczne miejsce. ○



Anna Dąbrowska

Dziennikarka, tłumaczka, wólczykij, motocyklistka. Odwiedziła 50 państw na 5 kontynentach. „Kocia mama”, autorka książki dla dzieci „Podobno koty żyją dziewięć razy”. Prowadzi bloga „Projekt Dziadek. Blog z Powstania Warszawskiego” (projekt-dziadek.blogspot.com).

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

THE RAWKA WINTER RAFTING

Celem wyprawy Mariusza Wasiaka jest dokonanie pierwszego zimowego samotnego spływu pontonem rzeką – bez przerwy, ale z noclegami na trasie. Rawka, płynąca we wschodniej części województwa łódzkiego, została ukoronowana w ogólnopolskim głosowaniu internautów tytułem Rzeki Roku 2014. Na całej długości jest objęta ochroną przyrodniczą jako rezerwat. Walory ekologiczne, bogactwo przyrodnicze, piękno krajobrazu, jak też wyzwanie podróżnicze i sportowe – to główne zalety projektu.

Nikt do tej pory nie zrealizował podobnego pomysłu, ani na Rawce, ani na żadnej innej polskiej rzece. Powodzenie wyprawy jest uzależnione głównie od warunków pogodowych, ale również od działalności bobrów, które mogą zamienić rzekę i najbliższe otoczenie w bardzo uciążliwy, czy wręcz niedostępny obszar. Przeprowadzenie w 2004–2005 zimowego spływu dostarczyło wielu doświadczeń i spostrzeżeń do wykorzystania obecnie, a dotychczasowe dokonania Mariusza Wasiaka dają mu duże szanse pomyslnego zakończenia spływu.



KRAKOWSKI FESTIWAL GÓRSKI

To wyjątkowe spotkanie miłośników gór i wszelkich odmian alpinizmu. 16. edycja KFG po raz pierwszy w historii będzie trwać aż 5 dni – festiwal odbędzie się w dniach 28 listopada – 2 grudnia. Jest to górskie podsumowanie roku, okazja do wymiany doświadczeń, spotkania w gronie znajomych oraz poznania ludzi, którzy wyznaczają nowe standardy alpinizmu i wspinania sportowego, lub tych, którzy na stałe zapisali się w jego historii.

Wśród gości KFG nie zabraknie sławnych nazwisk ze świata alpinizmu. Podczas festiwalu odbędzie się również Międzynarodowy i Krajowy Konkurs Filmowy, a w trakcie pokazów widzowie będą mieli okazję obejrzeć najnowsze produkcje oraz hity górskiej kinematografii. Po raz pierwszy imprezie będą towarzyszyć zawody w trail runningu oraz klub kulturalny. Uczestnicy będą mieli również okazję wziąć udział w licznych warsztatach z zakresu tematyki górskiej, sportowej oraz fotografii. Będzie również strefa targowa oraz atrakcje dla najmłodszych. kfg.pl



Z KARAKORUM NA AUSTRALIJSKI OUTBACK

Teresa Tokarz i Dawid Sznajder poznali się na jednym z portali podróżniczych. Teraz, po kilku miesiącach znajomości, spakowali dobytek do dwóch plecaków i z biletem w jedną stronę wyruszają zobaczyć świat z bliska.

Na wyprawę wyruszyli 29 września. Zaczęli od Pakistanu, gdzie będą przemierzać Karakorum i poznawać zwyczaje lokalnej ludności. Jednym z trekkingów, które zamierzają odbyć, jest wędrowka do bazy pod Nanga Parbat. Potem przez Indie chcą dotrzeć do Nepalu, gdzie przez miesiąc będą wędrować wśród himalajskich szczytów. Następnie zwiedzą Bangladesz, Mjanmę, Tajlandię, Laos i Kambodżę. Później w Wietnamie wsiądą na motor, by dojechać do nawet najbardziej ukrytych zakątków tego kraju. W końcu dotrą do Indonezji, w której zatrzymają się na dłużej. Stamtąd będą próbować dopłynąć jachtostopem do Australii, którą, podobnie jak większość pozostałych krajów, zamierzają przejechać autostopem. *Si a todo* – „tak na wszystko” – to zasada, którą będą się kierować podczas wyprawy.

www.zaczynajacodmarzen.pl



ANATOMIA GÓRY

Poznański Klub Podróżnika zaprasza na spotkanie z Rafałem Fronią, który opowie o Narodowej Zimowej Wyprawie na K2 2017–2018 oraz o swojej książce „Anatomia góry”. Ta góra jest jak połączenie syreny i rosiczki. Najpierw słyszy się jej śpiew. Magia zaczyna działać, góra mami, wabi, ściąga ku sobie jak magnes. I ani się obejrzyysz, już wbijasz czekan w jej lód, a obok... leżą wystające z lodu fragmenty ludzkich szczątków, pożartych kiedyś, a dziś wypłutych na szkło lodowca. W tym roku jej zachłanność przerosła wszystko. Góra omamiła cały naród. Wszyscy chcieli o niej słuchać, patrzeć na nią, być z nią i na niej. Rafał Fronia opowie o tym, jak góra go odtrąciła. Spotkanie odbędzie się 26 listopada.

Rafał Fronia to uczestnik wielu wypraw w góry najwyższe, w tym zimowej wyprawy PZA PHZ na Broad Peak 2010/2011 oraz na Nanga Parbat, Dhaulagiri, Makalu, Gasherbrumy i Manaslu. Wszedł na Gasherbrum II i Lhotse. Himalaista podczas Narodowej Zimowej Wyprawy na K2 2017–2018 uległ wypadkowi, gdy szedł Drogą Basków do obozu pierwszego na wysokości 5900 m n.p.m. Spadający kamień uderzył go w przedramię, podejrzewano złamanie. www.poznanskiPodroznik.pl



NARRACJE W OLIWIE

10. Festiwal Narracje odbędzie się 16 i 17 listopada w Oliwie. Tytuł tegorocznej edycji – „Słońca w ciszy były jak wielki śpiew w zenicie” – jest cytatem z wiersza Rainera Rilkego z 1898 r. Zakończenie utworu, z którego pochodzi ten fragment, powstało w parku Oliwskim, gdzie natchniony pięknem letniej przyrody poeta napisał je wspólnie ze swoją przyjaciółką Lou Andreas-Salomé.

Narracje od 2009 r. eksplorują nowe miejskie wątki i historie. Artystyczne interwencje w przestrzeni publicznej dzielnicy Gdańska nadają codziennym miejscom nowy kontekst i pozwalają odkryć je ponownie. Festiwal odbywa się jesienią, kiedy większość działań kulturalnych wkracza do galerii. Narracje dają powód, by w dwa listopadowe wieczory wyjść z domu i odkrywać miasto na nowo. www.narracje.eu



ANDES EXPEDITION



To kolejna samotna wyprawa rowerowa Damiana Drobyka po najwyższych drogach i przełęczach świata.

Tym razem odwiedzi Amerykę Południową i najdłuższy łańcuch górski na Ziemi, czyli Andy. Będzie to już szósty kontynent, na który się wybrał. Podróż po Andach i najwyższych drogach Ameryki Południowej znacznie przybliży go do zdobycia upragnionej Rowerowej Korony Ziemi. Ta ekspedycja będzie dla Damiana najtrudniejszą i najbardziej wymagającą wyprawą interkontynentalną spośród tych, które zorganizował do

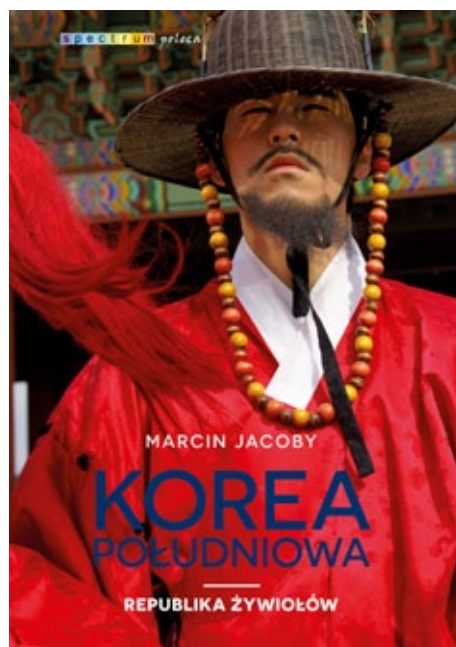


tej pory. Długi dystans, czas trwania, znaczna wysokość, ogrom miejsc podróży w często trudnych warunkach pogodowych będzie wymagać sporego wysiłku fizycznego, a także mocnej psychiki. Damian chce przejechać wiele dróg powyżej 3000, 4000, 5000, a także podjąć próbę wjazdu na wysokość powyżej 6000 m n.p.m. w trzech możliwych do tego wyczynu miejscach. damiandrobyk.pl

KOREA POŁUDNIOWA. REPUBLIKA ŻYWIOŁÓW

Gdy w 1988 r. w Seulu odbywały się Letnie Igrzyska Olimpijskie, Republika Korei była jeszcze krajem Trzeciego Świata. W trakcie odbywających się niemal trzydzieści lat później Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pjongczangu łatwo było zauważyć, jak dużo się zmieniło. Kiedyś gospodarczo zapóźniona, aktualnie jest centrum nowych technologii. Jednocześnie jej społeczeństwo cały czas żyje w poczuciu zagrożenia ze strony północnego sąsiada.

Niełatwego zadania opisanie tego azjatyckiego kraju podjął się Marcin Jacoby w „Korei Południowej. Republice żywiołów”. Autor stawia sobie za cel przybliżenie współczesnego obrazu Korei Południowej w szerszej perspektywie historycznej, kulturalnej i lifestylej. Prowadzi czytelnika przez koreańską rzeczywistość z pewnością eksperta, ciekawością podróżnika i pasją wielbiciela. Skupia się przede wszystkim na próbach ukazania tego, co typowe, oraz tego, co może się nam z polskiej perspektywy wydawać inne, egzotyczne. To obowiązkowa lektura dla wszystkich tych, którzy pragną dowiedzieć się więcej o Korei i zrozumieć jej fenomen. Wydawnictwo Muza.



BĘDZIE SIĘ DZIAŁO NA TT WARSZAW

Warto zarezerwować sobie czas w dniach 22–24 listopada, by odwiedzić Targi TT Warsaw. W Pałacu Kultury i Nauki odbędzie się 26. edycja tej imprezy. Przez trzy dni pałac będzie tętnił życiem, a wielokulturowe show przyciągnie jak zwykle liczną publiczność. W jednym miejscu zmieści się w tym czasie prawie cały świat.

Obecność Włoch na tegorocznej edycji Targów TT Warsaw będzie wyjątkowa, bo właśnie podpisano umowę z ENIT (Narodową Agencją ds. Turystyki Włoskiej), która nadaje Włochom status kraju partnerskiego.

Dziewięć włoskich regionów zaprezentuje swoje walory na stoisku liczącym blisko 400 m². Jego atrakcyjność zapewni 150 podwystawców. Będzie można skosztować włoskich serów i wędlin oraz ucieszyć podniebienie wyśmienitymi winami i likierami. A wszystko to przy dźwiękach włoskiej muzyki.



Gościem specjalnym TT Warsaw będzie Janek Mela, najmłodszy w historii zdobywca biegunów północnego i południowego w ciągu jednego roku. Także inni podróżnicy będą się dzielić wrażeniami z wojaży i przybliżać gościom targów bardziej i mniej odległe zakątki świata. ttwarsaw.pl

SPOTKANIE Z EKIPĄ BUSA

Aleksandra i Karol Lewandowscy mają po 29 lat, są blogerami i od 8 lat podróżują po świecie starym kolorowym busem. Odwiedzili już ponad 50 państw na 5 kontynentach, wydając dziennie średnio jedynie 8 dolarów. Spędzają w podróży 6–8 miesięcy w ciągu roku, a na blogu dzielą się swoimi przygodami oraz poradami. Wydali też 4 książki, które stały się bestsellerami i doczekały się wielokrotnych dodruków.

Spotkanie odbędzie się 9 listopada w ramach 26. edycji Radzyńskich Spotkań z Podróżnikami. W ciągu sześciu lat stały się one ważną imprezą, która zapewniła sobie poczytne miejsce w kulturalno-towarzystwym życiu Radzyna. Najlepiej o tym świadczy zawsze pełna widownia. www.podroznik-radzyn.pl



GDYŃSKIE WARSZTATY PODRÓŻNICZE WYJŹ W ŚWIAT

Miasto Gdynia oraz Hufiec ZHP Gdynia zapraszają na Gdynskie Warsztaty Podróżnicze „Wyjź w Świat” – cykl osiemnastu prelekcji podróżniczych organizowanych w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym. Prelegentami są znani podróżnicy, fotografowie, reporterzy i autorzy książek podróżniczych. Do tej pory odbyło się ponad 100 spotkań, na których wystąpili m.in. Wojciech Jagielski, Jacek Hugo-Bader, Wojciech Tochman i Aleksander Doba. Pełen harmonogram spotkań na stronie www.warsztatypodroznicze.pl



MUZA SALVADORA

Aneta Kotarska



Jeżeli szukacie na Costa Brava czegoś niezwykłego, odbiegającego od standardowych kurortów z tłumami turystów, powinniście oddalić się od Barcelony i pojechać wybrzeżem w kierunku Francji. A dokładnie w stronę Alt Empordà, do Cadaqués, miejscowości niewielkiej, ale tak wyjątkowej, że stała się natchnieniem wielkich artystów.



Na informację o tym miasteczku natknęłam się w Figueres, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam Katalonię i postanowiłam podążać szlakiem Salvadora Dalego. Tam bowiem znajduje się muzeum artysty, czyli punkt, od którego zaczęłam tzw. „Trójkąt Dalego”. Kolejnym miejscem był zamek w Púbol, który malarz podarował swojej ukochanej Gali na urodziny, a po jej śmierci sam w nim zamieszkał. Ostatnim, a przy tym najciekawszym przystankiem było Cadaqués, w którym znajdowała się letnia rezydencja rodziny Dalego.

KUBIZM Z CADAQUÉS

Zaciekawiona biografią artysty, wsiałam w autobus w Figueres i po kilkadziesiąt minutach jazdy serpentynami prawie pożałowałam mojej decyzji. Nie tylko doskwierała mi choroba lokomocyjna, lecz także lęk przed runięciem w przepaść, kierowca bowiem zdawał się nie zwracać uwagi ani na ostre zakręty, ani na limity prędkości. Jednak gdy po godzinie



podróży wreszcie dojechaliśmy na miejsce i udało mi się dotknąć stałego lądu, to wbrew moim oczekiwaniom wpadłam w długotrwałą zachwyty nad pięknym tego zakątkiem.

Po kilku latach mieszkania w Katalonii muszę przyznać, że Cadaqués w prowincji Girona to jedno z najbardziej urokliwych miejsc na Costa Brava. Pomimo że miasteczko jest niewielkie – jego powierzchnia to zaledwie 26,52 km², a liczba mieszkańców liczy niespełna 3 tys. osób – ma wiele do zaoferowania. Oddzielone od reszty regionu górami Puig de Paní i Puig dels Bufadors, było odizolowane aż do XIX w. i dzięki temu zachowało dawny urok wioski rybackiej oraz oryginalną architekturę południową.

Zwiedzanie rozpoczęłam od przespacerowania się wąskimi uliczkami, przy których stały białe domy z niebieskimi okiennicami i pnącymi się po ścianach kwitnącymi krzewami. Na jednym z budynków widniał napis: „Tutaj mieszkał Pablo R. Picasso”. Artysta przebywał w tej willi z przyjaciółmi w lecie 1910 r. i wspomina się ten okres jako

niezwykle stymulujący dla jego późniejszej twórczości. Uważa się, że ten pobyt wpłynął na rozwój kubizmu w jego sztuce. Z tego powodu Muzeum Cadaqués organizuje często wystawy związane z życiem malarza, podczas których można zobaczyć stare fotografie oraz reprodukcje jego dzieł.

Oddalam się trochę od domu Picassa, by zgubić się w labiryncie wąskich i poplątanych uliczek starówki, która znajduje się na terenie dawnego średniowiecznego miasta otoczonego murem. Do dzisiaj zachowały się jego szczątki, wkomponowane obecnie w ścianę ratusza. Zwraca uwagę również starożytny bruk na ulicy El Call, tzw. *rastell*, wykonany z kamieni wydobytych z morza i ułożonych w sposób zabezpieczający przechodniów przed poślizgiem.

Jeśli zgłódniejemy podczas spaceru, warto usiąść w jednej z lokalnych restauracji i zamówić typową tapas z Cadaqués – *anchoas*, czyli sardelki. Poza tym godne polecenia są wszelkiego rodzaju owoce morza, tj. małże, jeżowce, homary, bądź też paella z owocami morza.

EL PUERTO

Widok na Cadaqués, czyli dawną wioskę rybacką, która do dzisiaj słynie z połowu sardeli.

ŚREDNIOWIECZNY LABIRYNT

Wąskie uliczki wyłożone kamienistym brukiem *rastell* są pełne barów tapas, butików i galerii sztuki.



SZALONA LIDIA

Rzeźba miejscowej dziwaczki, która według Dalego miała, zaraz po nim, najcudowniejszą osobowość paranoiczną, jaką kiedykolwiek spotkał.

MISTYCZNY RAJ

Idąc wyżej, docieramy do punktu widokowego, z którego możemy podziwiać piękny krajobraz: kamienistą plażę, białe łodzie i turkusowo-niebieską wodę. Znajduje się tam też rzeźba kobiety, tzw. Lidii z Cadaqués, nazywanej też miejscową czarownicą, która była postacią na poły fikcyjną, na poły realną. Z jednej strony to bohaterka tytułu Eugenia d'Ors „Prawdziwa historia Lidii z Cadaqués”, z drugiej zaś była wzorowana na rzeczywistej historii Lidii, przyjaciółki Dalego, który zresztą wykonał ilustracje do wspomnianej książki.

Gdy spacerowałam wzdłuż wybrzeża, moją uwagę przykuł jeszcze jeden pomnik, który góruje nad całą zatoką i przedstawia pana z zakreślonym wąsem i nonszalanckim

spojrzeniem. Nie sposób pomylić go z kim innym, oczywiście chodzi o Salvadora Dalego. Tam też na przeszklonej tabliczce znajduje się praca artysty, którą możemy porównać z krajobrazem, będącym podstawą do powstania tej malowniczej kompozycji. Jak komentował sam Dali: „W tym uprzywilejowanym miejscu to, co realne, i to, co idealne, prawie się dotykają. Mój mistyczny raj zaczyna się na równinie Ampurdán, otoczonej przez Les Alberes, i znajduje swoją pełnię w zatoce Cadaqués. Ten krajobraz to moja wieczna inspiracja”.

Posłuchajmy Dalego i przyjrzyjmy się jego inspiracji. Nazwa Cadaqués pochodzi od *cabo de rocas*, co tłumaczymy jako „przylądek skalny”. Z tego powodu podążanie szlakiem poza miasteczko oferuje nam niezapomniane krajobrazy. El Cabo de Creus jest najdalej wysuniętym na wschód punktem Półwyspu Iberyjskiego. Tam też znajduje się park naturalny, który obejmuje strefę morską i lądową i jest jednym z największych obszarów niezamieszkałych na wybrzeżu hiszpańskim. Ja wybrałam się szlakiem Cap de Creus do latarni morskiej, skąd widoki były niesamowite. Gdybyśmy chcieli również zażyć kąpieli, to warto wybrać się do pobliskich *calas*, czyli dzikich plaż i zatoczek.

DOM, KTÓRY ŻYŁ

Dla mnie i pewnie dla pozostałych fanów surrealizmu najważniejszym miejscem w bahiá de Cadaqués jest dom, a zarazem muzeum Salvadora Dalego w Portlligat. Tam możemy zbliżyć się do tego ekscentrycznego malarza za sprawą labiryntowej przestrzeni, którą się otaczał i w której żył wraz z Galą. Sam budynek jest efektem twórczości i życia pary. Malarz bowiem wykupił od słynnej Lidii barak, który służył wcześniej jako chata rybacka, i osiedlił się tam w 1932 r. Na przestrzeni czterdziestu lat życia z Galą Dali dobudowywał kolejne części domu. Traktował go jak organizm, któremu przy odpowiednich impulsach zewnętrznych wyrasta nowa komórka.

Intrygujące eksponaty i pełne niespodzianek pomieszczenia na pewno pozostaną w naszej pamięci na długo. Nie bez powodu dyrektor tutejszego muzeum stwierdza: „W tej małej miejscowości miała miejsce jedna



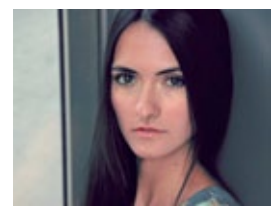
DOM PICASSA

Rezydencja, w której malarz przebywał w 1910 r.

z największych rewolucji w sztuce współczesnej”. Cadaqués stało się niespodziewanie ośrodkiem awangardy. Od 1958 r. Marcel Duchamp ulokował tam swoją letnią rezydencję. Tam też spędzał lato znany andaluzyjski poeta Federico García Lorca. Dali i Lorca poznali się w Madrycie jeszcze jako studenci i pozostali dobrymi przyjaciółmi przez wiele lat, toteż Salvador zaprosił poetę na wakacje do rodzinnej rezydencji. Lorca przybył do Cadaqués w 1925 i 1927 r. Wtedy malarstwo Dalego oraz poezja Lorki przeniknęły się nawzajem, co zaowocowało surrealistycznymi wierszami poety, np. „Oda do Salvadora Dalego”, oraz lirycznym akcentem w obrazach malarza. Aby upamiętnić pobyt artysty w miasteczku, znany kataloński rzeźbiarz Josep Maria Subirachs zadedykował poecie pomnik, na którym wyrzył wersy jego wiersza.

Obecnie każdego roku w Cadaqués odbywa się festiwal muzyczny, który przyciąga artystów z całego regionu i jest wydarzeniem pozwalającym poczuć wszystkimi zmysłami wyjątkowość tego zakątka. Tradycja została zapoczątkowana w 2008 r. i gromadzi coraz więcej solistów, zespołów oraz kompozytorów. Podczas festiwalu koncerty muzyki klasycznej odbywają się w XVII-wiecznym kościele gotyckim św. Marii z Cadaqués, natomiast pozostałe – w najbardziej kluczowych punktach miasta.

Po wizycie w Cadaqués nie dziwiło mnie już, dlaczego artyści właśnie w tym miejscu Costa Brava znajdowali inspirację i z jakiego powodu tam nadal wracają. Z lekko rozmarzonym i nostalgicznym spojrzeniem opuściłam miasteczko, wiedząc, że któregoś dnia będę chciała je opisać... ○



Aneta Kotarska

Absolwentka filologii polskiej i kulturoznawstwa na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Barcelońskim. Autorka reportaży kulturalnych Info Polones w katalońskiej telewizji BTV. Od kilku lat mieszka w Barcelonie, pracuje jako przewodnik, uczy obcokrajowców polskiego i pisze. Obecnie pracuje nad blogiem *Cultour Barcelona*.



KWADRANS NA ŁZY



FOT. SHUTTERS TOCK

Lubimy dziś żyć dynamicznie. Oczekujemy szybkiej obsługi, szybkiego awansu, szybkich podróży. Oraz tego, by szybko doprowadzano nas do łez.

Od lat tkwię w toksycznym związku. Ja i on mieszkamy osobno, ale daję mu szansę za każdym razem, kiedy się spotykamy. Drugą, trzecią i kolejne, choć tyle razy słyszałam, że tylko jedna ma sens. Nie

zraża mnie to, że każdy nasz kontakt kończy się rozczarowaniem. Tak to już jest z kobietami – nasza nadzieja umiera ostatnia. Widujemy się w pokojach hotelowych albo przypadkowych mieszkaniach. To ja ślepo się na niego rzucam. Na widok jego smukłej, czarnej sylwetki bezmyślnie chwytam za pilota i czekam na cud. Sprawdzam, czy to na pewno nie błąd, że nie mam w domu telewizora.

Porzuciłam już resztki wiary w główne pasma i kakofoniczne stacje muzyczne. Kanały komediowe, rozbrzmiewające podłożonym w tle śmiechem, napawają mnie raczej smutkiem. Lifestylowe na próżno próbują mnie zapędzić w konsumpcyjny kołowrót urządzania mieszkań, gotowania, a potem odgracania i zrzucania zbędnych kilogramów, oczywiście według instrukcji z ekranu. Mówię: pas. Ale wciąż unfie zaglądam tam, gdzie powinnam znaleźć programy podróżnicze.

Nie mam wielkich oczekiwań. Nie liczę już na wnikliwe reportaże jak w czasach popularności mistrzów – Halika, Dziukowskiej, Attenborough. Pogodziłam się

z odejściem „Pieprzu i wanilii” czy „Klubu Sześciu Kontynentów – Kawiarenki pod Globusem”. Z sezonu na sezon obniżam swoje wymagania co do czasu trwania odcinka, wyboru tematyki i komentarza narratora, mimo to przeżywam kolejne zawody. A przecież tytuły programów brzmią obiecująco. Najpierw trafiam na ten o kamperach. W myślach widzę scenariusz jak z filmów drogi, przesuwanie się za oknami krajobrazy i fascynujące życiorysy nietuzinkowych bohaterów. Nic z tego – cykl opowiada o modelach aut i ich wyposażeniu. Zamiast widoków z podróży dostaję przegład zabudowy kuchni, kompaktowych toalet i składanych łóżek. Przebierają w nich klienci, którzy wyglądają, jakby nigdy mieli nie wstać z kanapy.

Następny jest odcinek o kupowaniu wakacyjnych domów za granicą. Zapowiada się ekscytująco, ktoś z nas o takim nie marzy? Nastawiam się na spacer po posiadłościach z duszą, przykłady oryginalnej architektury i olśniewające widoki z okien. Cóż, te ostatnie pełnią tylko

funkcję przystawki do rankingu nieruchomości, które zachwala agentka. Czuję się jak w portalu z ogłoszeniami. Schemat zawsze jest ten sam: dwójka kupujących, trzy domy i analiza porównawcza. Przyszli właściciele analizują ceny, omawiają metraże, kafelki i zabudowę szaf, niespecjalnie licząc się z otoczeniem. I gdzie tu podróże?

Wreszcie program trzeci – kuchnie świata. I znów zamiast apetycznych targowisk, maleńkich sklepików z przyprawami i knajpek w urokliwych zakątkach widzom podaje się dziwaczne rywalizacje, kto połknie bardziej obrzydliwego robaka albo zawody w gotowaniu na czas przy wrzaskach koszmarnego szefa kuchni. Zamiast przyjemności dostają rozstroju żołądka.

Wreszcie znalazłam. Program sklasyfikowany jako reportaż podróżniczy, w dodatku z udziałem słynnego reportera. Może nie pokroju Fiedlera czy Kapuścińskiego, ale jednak kogoś, kto gdzieś tam był i napisał o tym parę książek. Zapowiedź obiecuje dotarcie do najodleglejszych zakątków świata i bliskie spotkanie z tamtejszymi ludźmi. Odliczam, aż skończą się reklamy, które pojawią się jeszcze w połowie dwudziestominutowego odcinka. Sam materiał potrwa niewiele ponad kwadrans. W kilkunastu minutach zmieści się czołówka, kilka ładnych ujęć z drona z przyjemnym podkładem muzycznym oraz ekspresowa fabuła, która obowiązkowo musi doprowadzić do wzruszenia.

Poznajemy więc historię biednych tubylców, z którymi charyzmatyczny prowadzący natychmiast się żyje i pragnie im ulżyć w niedoli. Innym razem śledzimy głównego bohatera, który w ekstremalnych warunkach przekracza kolejne granice wytrzymałości (i dobrego smaku). Najbardziej zirytował, a może rozśmieszył mnie format, w którym tzw. travelbryta zabiera w podróż tzw. zwykłego człowieka, którego niczym oświecony przewodnik wprowadza w busz, na pustynię lub do rwącej rzeki i w ten sposób funduje mu życiową metamorfozę. Na ekranie królują łzy, uściski dłoni, poklepywanie po plecach. Nic już nie będzie jak dawniej! A wszystko to w piętnaście minut.

Im więcej gwiazd w programie, tym gorzej. Reality show z udziałem sław, obiecujące odkrycie prawdziwej Azji czy Afryki to w istocie zapis mniej lub bardziej zenujących gier zespołowych,



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

podobnych do tych z pracowniczych wyjazdów integracyjnych. Obiecywany przez producentów kontakt z lokalną rzeczywistością i mieszkańcami przypomina raczej powierzchowne muśnięcie dłonią. I nie można się oprzeć wrażeniu, że poza okiem kamery tę dłoń bohaterowie wycierają nawilżaną chusteczką.

Możecie mi zarzucać, że szukam ładnych obrazków i wersji świata, której nie ma. Przecież wszyscy podróżujemy szybciej, łatwiej i bardziej bezmyślnie. „Podróże już nie kształcą” – pisze Paulina Wilk w ciekawej analizie współczesnej turystyki. Wszystko się zmienia, formaty telewizyjne również. Ale ja wierzę, że może być inaczej. Wciąż się łudzę, że media

mogą edukować i wychowywać uważnych, świadomych podróżników. Mówić o świecie dłużej, wolniej, mądrzej. Albo po prostu zachwycać tym, jaki jest piękny. Kiedy następnym razem spotkam telewizor, pewnie znowu go włączę. Kto wie, może mnie zaskoczy? ○

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



MARSZ DO ZAGINIONEGO MIASTA

Renata Matusiak



Spoczywa na szczycie jednego z najgłębszych kanionów w Ameryce Południowej i wyżej niż Machu Picchu. Tutaj przybywają tylko prawdziwi poszukiwacze przygód i po kilku dniach wyczerpującej wędrówki spotykają się z absolutną ciszą tajemniczych ruin. Archeolodzy szacują, że zaledwie 40 proc. powierzchni Choquequirao zostało do tej pory odkryte.

Na dojsie do ruin tego miasta trzeba poświęcić od 3 do 5 dni, w zależności od tempa marszu i liczby noclegów. W planach jest projekt budowy kolejki linowej do ruin Choquequirao. Długość jej trasy nad imponującym kanionem Apurímac wyniesie 5 km, a pokonanie różnic wzniesień 1400 m ma zająć 15 minut. Ale na razie są to tylko plany.

Najczęściej uczęszczaną drogą jest dziś szlak prowadzący z wioski Cachora przez niewielkie osady Santa Rosa i Marampata. Trekking jest dość wyczerpujący. Wybrałam trasę nieco krótszą, jednak nie mniej męczącą – drogę z osady Kiuñalla.

DOM HUGO I BYKI Z PUCARY

Do Kiuñalli kursują z Abancay zbiorowe taksówki. Wysiadłam z jednej z nich z dwoma plecakami, dla siebie i mojego potencjalnego przewodnika. Popołudniowa mgła spowijała nieliczne domostwa. Współpasażerka taksówki wskazuje dom Carlosa, który mógłby poprowadzić mnie do ruin. Budynek, tak jak

inne we wsi, został zbudowany z cegły suszonej na słońcu. Jest zamknięty, wspinam się więc z powrotem po porośniętym zboczach do drogi i kieruję w stronę grupki kobiet. Po drodze pozdrawia mnie niski mężczyzna około czterdziestki. Ma na imię Hugo i okazuje się, że może mi pomóc.

Rozkładamy mój namiot obok jego domu. Zbliża się wieczór i robi coraz zimniej, wydaje się też, że niedługo zacznie padać. Hugo spogląda w niebo, patrzy jeszcze raz na mój namiot i śpiwór. Zaczyna związać wszystko z powrotem i mówi, że będę spała w domu. Sam go zbudował, mieszka w nim z żoną Bertą i córką Valentiną. Domostwo składa się z dwóch części – w osobnym budynku jest izba służąca jako kuchnia. A na dachu tkwią ceramiczne byki z Pucary – cudowny amulet, czyli figurki



wyrabiane przez rzemieślników w indiańskich wioskach, szczególnie w Chepa Pupuja.

Byki zdobią dachy najczęściej w regionie Cusco, Puno i Apurímac. Przyjęło się nazywać je „bykami z Pucary”, ponieważ tam były początkowo sprzedawane i tam zdobyły największą popularność. Mają chronić gospodarstwa domowe, przynosić im szczęście i dobrobyt. Wskazane jest mieć dwa byki i krzyż między nimi. Ta kompozycja prezentuje andyjski dualizm: mężczyznę i kobietę, samca i samicę, ojca i matkę, a chodzi o to, aby małżeństwo mieszkające w takim domu cieszyło się wszelką pomyślnością. Mówi się też, że para powinna być jak byki silna i witalna. Do krzyża dodaje się jeszcze coś w rodzaju drabiny, co oznacza, że w całym swoim życiu małżonkowie powinni zbliżać się do siebie każdego dnia.

A ponieważ małżeńskie życie musi składać się też z przyjemności, dlatego jest tam dzban cziczy (lokalny napój z kukurydzy zawierający niewielką ilość alkoholu).

Hugo szykuje mi pokój. Cała izba, niemal do połowy ścian, jest wypełniona kolbami kukurydzy – fioletowej, żółtej i o różnokolorowych ziarnach (w Peru występuje kilkadziesiąt odmian tego zboża). Odgarnia ją i robi trochę miejsca obok drzwi, aby zmieścić się materac. Oprócz kukurydzy w rogu jest jeszcze stos ubrań. Na ścianie wisi kabel z żarówką – prąd jest z baterii słonecznej.

W kuchennej izbie, na urządzonym w rogu palenisku, kobiety gotują kolację: zupę z południowoamerykańskiej odmiany świnki morskiej, zwanej też indiańskim królikiem. Przy ogniu zimno nie dokucza tak bardzo.

KOLEBKA ŻŁOTA

Na zielonym zboczu widać ruiny Choquequirao, którego nazwa pochodzi z języka kiczua i oznacza „kolebkę złota”. Miasto było naturalnie chronione przez swoje położenie (co widać na zdjęciu).





RYCZĄCY APURÍMAC

Głęboki i piękny, otoczony pasmem górskim Salkantay, kanion Apurímac – jednej z głównych rzek Peru. Jej burzliwe wody ryczą, rozbrzmiewając na zboczach, które sięgają tu 5000 m.

ABY WEJŚĆ, TRZEBA ZEJŚĆ

Budzą mnie na śniadanie. Przed drzwiami jest drewniany, śliski po deszczu podest, pod nim rów. Wychodząc nocą z latarką do wychodka, cały czas miałam na uwadze, by do niego nie wpaść. Podest służy zarazem jako grzędą dla kur. W kuchni Berta podgrzewa zupe, w termosie na stole czeka już herbata *mate de muña*.

Do południa utrzymuje się gęsta mgła. Nie widać sąsiedniego budynku, nie mówiąc o otaczających Kiuñallę górach i punkcie widokowym San Miguel. Idziemy do miejscowej knajpy – glinianej izby w jednym z domów. Gospodyni oferuje cziczę z kukurydzy, zawsze też ma coś ciepłego, np. gotowaną fasolę. Ale Berta woła nas na obiad. Na deser przygotowała *mazamorra* z białej kukurydzy.

Po obiedzie pakujemy ziemniaki, ser, prażoną kukurydżę, kupujemy makaron i chińskie

zupki, które będą służyć jako przyprawa. Zaczynamy naszą wędrówkę do ruin Choquequirao. Dzisiaj planujemy dotrzeć na dno wąwozu i spać nad rzeką Apurímac, obok wiszącego mostu.

Opuszczamy wioskę i zaczynamy schodzić w beznadziejnym błocie. Niedługo jednak dochodzimy do wygodnej, suchej ścieżki. Od tej pory będzie nam stale towarzyszył widok na rzekę. Z tej wysokości wydaje się cieniutką jak nitka strużką.

Zeszliśmy siedem i pół kilometra. Na dnie wąwozu panuje zupełnie inny klimat. Nieco wyżej, nad urwistym brzegiem jest hacjenda San Ignacio, gdzie rosną owoce tropikalne. Gospodarstwo jest oazą wśród skalnych stoków. Nad rzeką wybudowano kempingową bazę sanitarną, jednak nie została oddana do użytku. Są sanitariaty, ale nigdy nie popłynęła w nich woda.



FOT. RENATA MATYSIAK

Słońce prześlizguje się po szczytach, aż wreszcie zostaje po drugiej stronie gór. Wąwóz okrywa się cieniem. Wszystkie góry wydają się pionowymi skalnymi ścianami. Nie mogę sobie wyobrazić, że jutro wejdziemy na jedną z nich, by iść dalej. Mamy zamiar nocować w namiocie, ale Hugo spotyka znajomych robotników pracujących po drugiej stronie rzeki przy naprawie zerwanych betonowych platform, które uzupełniają brak skalnej półki. Nazajutrz będziemy po nich przechodzić. Robotnicy mają nocleg w hacjendzie, więc my zajmujemy ich baraki. Rozpalamy ogień i gotujemy kolację.

SIOSTRA MACHU PICCHU

Wstajemy o trzeciej rano. Podgrzewamy przygotowaną wieczorem zupę. W nadrzecznych chaszczach chowamy namiot i śpiwory, by nie dźwigać ich niepotrzebnie. Po godzinie jesteśmy gotowi do drogi. Księżyc już zaszedł, dookoła totalna ciemność. Towarzyszy nam tylko światło latarek. Przechodzimy przez wiszący most na rzece Apurímac i wspinamy po zniszczonym przez skalne osuwisko betonie, dochodząc do szlaku wijącego się ostrymi zakosami. Podejścia są strome.

Tuż przed świtem gasimy latarki – nie wiadomo, na ile będą nam potrzebne kolejnej nocy. Z nastaniem brzasku widać, że idziemy

MURAL SKIEROWANY NA PÓLNOC

Inkaski mural z wizerunkiem lamy. Jest ich tutaj więcej, mają różne rozmiary i zdobią ściany długich i wąskich tarasów. Wszystkie są skierowane na północ – w stronę ośnieżonego szczytu uważanego za źródło świętej wody nawadniającej kanały Choquequirao.



FOT. RENATA MATYSIAK



CIEPŁO OGNISKA

Domy w górskiej wiosce Kiuñalla są zbudowane przeważnie z gliny. Na pierwszym planie wejście do ogniska domowego Hugo, Berty i Valentiny (na zdjęciu obok), gdzie czeka obietnica ciepłej stawy i bezpiecznego snu w zimne andyjskie noce.

brzegiem doliny tonącej we mgle. Czasami wyłania się rzeka, która została już głęboko w dole. Wspinamy się coraz wyżej, a temperatura spada. Wysięk jest nagradzany imponującymi widokami oferowanymi przez kanion.

Na przeciwległej ścianie wąwozu, na niewielkim skalnym płaskowyzu widać od czasu do czasu Marampatę, niewielką osadę jakby zawieszoną pod niebem. Nieliczne domki są otoczone mozaiką uprawnych poletek. Prowadzi przez nią inny, dłuższy szlak do ruin, zaczynający się w Cachorze. U podnóża Choquequirao biwakuje kilka osób, które tamtędy przywędrowały.

Po czterech i pół godzinie marszu, pokonaniu ośmiu kilometrów zaginione miasto wyłania się z mgły i chmur, które wolno przesuwają się po sąsiednich stokach. Na szczycie cytadeli, na wysokości 3050 m n.p.m. i 1500 m nad głębokim kanionem rzeki, znajduje się platforma ceremonialna, a na stokach – pozostałości zabudowań.

Choquequirao miało wyrafinowany system nawadniający i akwedukty, które dostarczały

wodę pitną. Mówi się, że było siostrą Machu Picchu z powodu strukturalnego i architektonicznego podobieństwa oraz położenia geograficznego. Ale z jakiegoś powodu Machu jest deptane przez prawie 4 tys. odwiedzających dziennie, a Choquequirao zostało zapomniane. Na razie pojawia się tu co dnia 40 osób. I w tym tkwi jego urok.

W 1909 r., dwa lata przed odkryciem Machu Picchu, był tutaj archeolog Hiram Bingham. Zagadką pozostaje, dlaczego nie docenił tego miejsca. Dla mnie i innych docierających tu zapaleńców to jednak szczęście. Prawdziwą nagrodą jest samotność w tych ruinach. Kompleks podzielono na sektory odpowiadające różnym częściom miasta, które miały określone funkcje. Pomiędzy nimi można wędrować z całkowitą swobodą.

BIAŁE LAMY Z KWARCU

Jestem zmęczona, wspinaczka dała mi się we znaki, ale Hugo mówi, że jeszcze musimy zejść i zobaczyć lamy. Nie wiedziałam,



FOT. RENATA MATUSIAK

FOT. RENATA MATUSIAK

mój aparat, pójdzie sam i zrobi zdjęcie, aby mi pokazać. Stwierdzam więc, że to naprawdę musi być coś interesującego, i zbieram siły do kolejnego wysiłku.

Schodzimy przez pół godziny, aż do punktu widokowego. Naszym oczom ukazuje się kilkadziesiąt tarasów uformowanych w stromym zboczu, a na nich postacie lam wykonanych z białego kwarcu. Pięknie kontrastują z kamieniami tła. Mają prostą, schematyczną formę. I są ukrytym klejnotem wizyty w Choquequirao. Dla Inków lamy były bardzo ważne. Ze względu na to, że poruszają się z niezwykłą łatwością w wysokich górach, służyły jako środek transportu. Dostarczały też wełny, skór i mięsa, a ich odchody – opału.

Po ponad trzech godzinach schodzenia jesteśmy z powrotem na dnie kanionu. Zastanawiam się, jak ja mogłam wejść po tych stromiznach. Gotujemy zupę z tego, co nam zostało, czyli makaronu i ziemniaków. Mamy już dzisiaj za sobą 16 km ostrych podejść i zejść, a przed nami kolejne 7,5 km w górę, do Kiuñalli.

o jakie lamy chodzi, ale skoro trzeba zejść, to później trzeba będzie wejść. A na wchodzenie nie mam już siły. W takim razie Hugo proponuje, że weźmie

Pierwsze ostre podejście, jeszcze w świetle dnia, jest do hacjendy San Ignacio, gdzie częstują nas *picarones* – to rodzaj pączków smażonych w głębokim oleju, z tym że ciasto robi się z żółtych batatów. Zazwyczaj są podawane z miodem. To popularna popołudniowa przekąska przygotowywana i sprzedawana na ulicach peruwiańskich miast.

Szybko zapada zmrok. Nie potrzebujemy laterek. Przez cały czas towarzyszy nam księżyc. Przez wiele kilometrów tylko my, on i zarysowane jego światłem góry. Od czasu do czasu w oddali widzimy słabe światła Marampaty, która świeci energią zgromadzoną w bateriach słonecznych. Jesteśmy zmęczeni, zwłaszcza ja, z każdym krokiem coraz bardziej. Często siadamy i odpoczywamy, musimy wtedy rozmawiać, bo inaczej senność może nas pokonać. Wreszcie zaczyna się błotnisty teren, a to znak, że nasza wieś jest już blisko. Ostatkiem sił wykrzesanych nie wiem skąd, szurając noga za nogą w błocie, wypatruję nitych świateł Kiuñalli.

Mam problem z wejściem do izby – ważne, by dobrze obliczyć kroki i nie zrobić żadnego nadaremno. Pijemy *mate de muña*, ręce mi drżą ze zmęczenia przy podnoszeniu kubka. Dziękujemy sobie nawzajem za wspólną wędrówkę. Świnki morskie spokojnie spacerują pod stołem.

O godzinie 4.00 rano zbiorowa taksówka sygnałem dźwiękowym daje znać, że oczekuje chętnych do Abancay. ○



Renata Matusiak

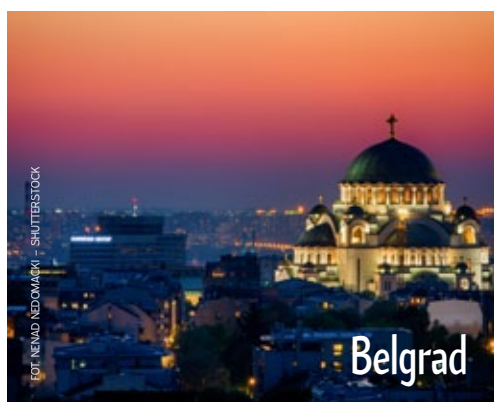
Nauczycielka, przez dwa lata pracowała w Kirgistanie jako lektorka języka polskiego na Kirgisko-Rosyjskim Uniwersytecie Słowiańskim. Prowadziła audycje „Polonia” w Programie I Kirgiskiego Radia. Odwiedziła 58 krajów. Podróżuje sama, niskobudżetowo, najczęściej autostopem.



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Wyspa króla Chrystiana

Christiansø i Frederiksø to dwie spośród wysp archipelagu Ertholmene, które jako jedyne są zamieszkane. Łączy je 30-metrowy most zwodzony. Warto odwiedzić wyspy przy okazji pobytu na Bornholmie. Wokół Christiansø wznosi się XVII-wieczny mur, którego wybudowanie zlecił ówczesny król Danii Chrystian V. Nieduże, kolorowe domki są rozsiane po całej

wyspie, ale stałych mieszkańców jest tu około 100. Christiansø zachwyca przede wszystkim unikatową florą i fauną.

Na wyspach znajduje się tylko jeden hotel oferujący 7 pokoi, poza tym do dyspozycji odwiedzających jest pole namiotowe. Można też wynająć prywatną kwaterę, jest to jednak bardzo kosztowne. Pływa tam prom, który przywozi turystów wczesnym rankiem, a zabiera w południe.



FOT. SHUTTERSTOCK



55°19'N 15°11'E

Wyspy leżą 18 km od Bornholmu, możliwy transport promem raz na dobę.

Włochy Muzeum Lodów

Słodką turystyką

Podczas wycieczki w prowincji Bolonia warto wstąpić do otwartego zaledwie 6 lat temu Muzeum Lodów w Anzola dell'Emilia. Historia tych smakołyków sięga już czasów przed naszą erą. W muzeum można poznać dzieje i tradycje produkcji lodów, zobaczyć kolekcję około 10 tys. fotografii oraz różnego rodzaju maszyny do wytwarzania zimnych przysmaków. Można także wziąć udział w degustacjach. Muzeum zostało usytuowane w fabryce maszyn do lodów Carpigiani, swego czasu rozslawionych na całym świecie. Wstęp jest bezpłatny i z roku na rok zagląda tam coraz więcej turystów.



FOT. THIRSO EMILIA POCAGNANI - WIKIPEDIA



FOT. THIRSO EMILIA POCAGNANI - WIKIPEDIA



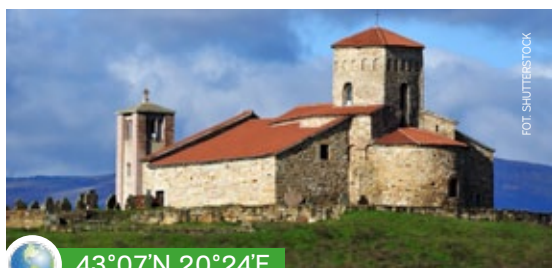
44°32'N 11°11'E

Okolo 30 minut drogi pociągiem lub samochodem z Bolonii.

Duża część Bałkanów wciąż stanowi dla Polaków sporą zagadkę. Do najrzadziej odwiedzanych zakątków należy jeden z najmłodszych krajów europejskich – Serbia. Wirtualna Polska radzi odwiedzić mniejsze miejscowości ze średniowiecznymi twierdzami, świątyniami i monasterami oraz parki narodowe ze wspaniałymi cudami natury.

Stari Ras

Do najważniejszych miejsc w Serbii zalicza się Stari Ras, czyli pierwsza stolica wczesnośredniowiecznego państwa serbskiego Raszki. Znajduje się na liście UNESCO, a turystów zachęca dobrze zachowanymi budowlami. Można tu zobaczyć twierdzę Gradina i cerkiew św. Piotra (obie z IX w.), a także słynny monaster Sopoćani z freskami w stylu bizantyjskim.



43°07'N 20°24'E

Okolo 40 minut drogi samochodem z miasta Novi Pazar.

Belgrad

Leżący u ujścia rzeki Sawy do Dunaju Belgrad ma ponad 7 tys. lat. Najlepiej zwiedzać go najsłynniejszym szlakiem turystycznym, który wiedzie przez stare i nowe dzielnice – Muzeum Narodowe, Muzeum Nikoli Tesli, twierdzę Kalemegdan wraz z 30-hektarowym parkiem, przepiękne cerkwie oraz deptaki z urokliwymi restauracjami. Na koniec koniecznie trzeba się wdrapać na 200-metrową Avala TV Tower, z której roztacza się imponujący widok na całe miasto.



44°49'N 20°28'E

Częste loty bezpośrednio z Warszawy (ok. 1,5 godz. lotu).

Nowy Sad



45°15'N 19°51'E

Niecała godzina drogi samochodem z Belgradu.

Znajdujący się na północy kraju Nowy Sad to miasto wielokulturowe – mieszkają tu Rusini i Węgrzy, roi się od studentów, a od 10 lat regularnie wzrasta ruch turystyczny. Zabytkowa starówka z imponującym ratuszem na placu Wolności oraz górująca nad miastem forteca Petrovaradin są obiektami, które trzeba zobaczyć. Dużą popularnością cieszy się także pobliski Park Narodowy Fruška Gora oraz naddunajskie plaże.

Kanion Uvac

Do najbardziej spektakularnych cudów natury należą meandry rzeki Uvac. Płyne ona przez Serbię oraz Bośnię i Hercegowinę, wyznaczając na odcinku 10 km granicę między tymi krajami. Skaliste brzegi i górzysty teren wokół nadają krajobrazowi niepowtarzalny charakter. Najpiękniej Uvac prezentuje się z lotu ptaka.



43°20'N 19°58'E

Dojazd samochodem z miejscowości Sjenica, zaleca się nocleg w okolicy rezerwatu (kemping, agroturystyka).

Golubac



44°39'N 21°37'E

Niecałe 2 godz. drogi samochodem z Belgradu.

W północno-wschodniej części kraju znajdziemy miejsce, które jest związane z polską historią. To leżąca nad samym brzegiem Dunaju gigantyczna twierdza Golubac (Gołābiec), miejsce śmierci rycerza Zawiszy Czarnego. Nie tylko forteca, ale także Park Narodowy Djerdap i tutejsze przystanie żeglarskie przyciągają każdego roku rzesze turystów.

Dom na Drinie



FOT. NEMAD NEDOMACKI - SHUTTERSTOCK



43°59'N 19°34'E

Domek znajduje się tuż przy miejscowości Bajina Bašta.

Drina



FOT. SHUTTERSTOCK



44°53'N 19°21'E

Nad rzeką Driną leżą m.in. Bajina Bašta, Ljubovija i Loznica.

sowości Bogatić, ukończyć bieg. Drina jest popularnym celem wycieczek – rozwija się na niej żegluga turystyczna, a także panują tu doskonałe warunki do uprawiania kajakarstwa.

Drina to prawy dopływ Sawy, wijący się przez Balkany na długości 346 km. Początek bierze z połączenia rzek Piva i Tara na granicy Czarnogóry oraz Bośni i Hercegowiny. Następnie w dużej części płynie wzdłuż granicy z Serbią, by na jej terenie, w miej-

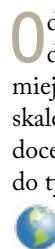
Miasto Diabła

Davolja Varoš, czyli Miasto Diabła, to nazwa skalnej krainy znajdującej się w południowej części kraju, niecałe 30 km od miasta Kuršumljaja. Niezwykły krajobraz, przypominający turecką Kapadocję, składa się z ponad dwustu strzelistych wież o różnych kształtach i wielkościach. Z miejscem wiąże się wiele legend, a tajemniczą atmosferę potęguje też niezwykle zjawisko akustyczne. Wiatr szumiący między skalnymi kominami tworzy nietypową symfonię szeptów, westchnień i pisków.



42°59'N 21°24'E

Niecałe 2 godz. drogi samochodem z miasta Nisz.



Od pewnego czasu turystów przyciąga mały domek na skale, który fascynuje położeniem. Choć miejsce kariery robi dopiero od niedawna, domek na skale można tu podziwiać już ponad 40 lat. W kraju doceniono go już wcześniej – domek nominowano do tytułu 7 cudów Serbii.

Domek znajduje się tuż przy miejscowości Bajina Bašta.

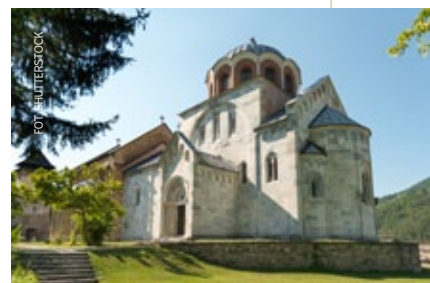
Monaster Studenica

Nie można także ominąć wpisanego na listę UNESCO monasteru Studenica, który jest jednym z największych i najbogatszych w Serbii. Ten średniowieczny klasztor, który został ufundowany pod koniec XII w., znajduje się w pobliżu Kraljeva na wschodzie kraju. Na przestrzeni wieków powstały tu liczne cerkwie, których wnętrza zachwycają freskami w stylu bizantyjskim.



43°29'N 20°31'E

Około godziny drogi samochodem na południe z miejscowości Kraljevo.



FOT. SHUTTERSTOCK

PIĘKNA BYDZIA

Piotr Geise

Przez długi czas pośród rodaków, ale też niektórych zdystansowanych do swego miasta mieszkańców, pokutowało określenie „Bydzia-brzydza”. Na szczęście ten czas już jest historią i 350-tysięczna Bydgoszcz ma coraz więcej powodów do dumy i satysfakcji, że dobiega kresu etap bycia największym niedocenianym polskim miastem.





W HARMONII

Stare Miasto – spichrze oraz tramwaje wodne napędzane panelami słonecznymi. Nowe spichrze od momentu wybudowania w połowie lat 90. stanowią przykład udanego wkomponowania nowoczesnej architektury w zabytkową tkankę miasta.

Z roku na rok miasto nad Brdą i Wiślą nabiera odrębnego charakteru. Po latach niedociągnięć nie jest to proces łatwy i szybki, jednak nie tylko bydgoszczanie, ale i turyści są w stanie zauważyć i docenić zmiany.

PAN I PANI TWARDOWSKA

Od 2006 r. w jednym z okien kamienic na Starym Rynku o 13.13 i 21.13 ukazuje się postać Jana Twardowskiego. Jest to nawiązanie do legendy o szlachcicu i czarnoksiężniku, który miał w 1560 r. gościć w Bydgoszczy przez cztery miesiące. Wspominał o nim w powieści „Mistrz Twardowski” Józef Ignacy Kraszewski. Niby drobnostka turystyczna, ale gdy miasto nie ma atrakcji na miarę Kopernika czy też całej gamy gotyckich budowli, jest to warte odnotowania.

Podobnie jest w przypadku znajdującej się na wylocie z miasta w kierunku Piły i Szczecina restauracji Karczma Rzym, która z kolei nazwą odwołuje się do ballady Adama Mickiewicza „Pani Twardowska”. Miejsce, będące członkiem Europejskiego Dziedzictwa Kulinarnego, poleca dania polskie, w tym gęsinę, wzbogacone ziołami z własnych upraw. Karczma, łącząc tradycyjne menu z lekką współczesną modyfikacją, może nie pretenduje do bycia kontynuatorką przedwojennych restauracji, ale jest tego dobrą namiastką – w mieście nie przetrwał bowiem żaden przedwojenny lokal gastronomiczny.

Postać Twardowskiego ukazującego się w oknie kamienicy jest utrzymana w konwencji sarmackiej. Odmienną w swym wyrazie jest praca tego samego artysty, Jerzego Kędziory, a mianowicie instalacja „Przechodzący przez rzekę”, czyli postać mężczyzny zawieszona na

NIE TAKA NOVA

Budynek Opery Nova mimo długiego okresu budowy (ponad 30 lat) nie stracił na świeżości. To nie tylko miejsce wystawień oper, ale także spektakli w ramach Festiwalu Prapremier czy balów karnawałowych.



linie nad Brdą na bydgoskiej starówce. Instalacja jest przykładem ciekawego współczesnego podejścia do sztuki w przestrzeni miejskiej. Dynamiczna rzeźba dobrze komponuje się zarówno ze stojącymi nieopodal spichrzami, jak i budynkami banku, które do tychże nawiązują. Te postmodernistyczne banki stały się ikoną architektonicznego designu lat 90. i są jednym

wszelkiego rodzaju ławeczkami ze znanymi postaciami. Bydgoszcz też ma taką rzeźbę – Mariana Rejewskiego, który złamał Enigmę, czyli



PRZECHODZĄCY PRZEZ RZEKĘ

Ta instalacja stała się inspiracją dla odbywających się latem zawodów osób przechodzących po linie nad Brdą.

z bardziej udanych przykładów współczesnego budownictwa, które ma nowoczesną formę i jednocześnie nie razi tandetą.

Jednak nie zawsze rzeźby w publicznej przestrzeni należą do udanych, a niektóre wręcz ocierają się o kicz. Od początku tego wieku wiele miast zostało zastawionych

maszyną szyfrującą wykorzystywaną przez hitlerowców. Z tego typu pomnikami jest pewien problem – ich mnogość doprowadziła do banalizacji tej formy. Mimo szczytnych celów czasem drażnią dosłownością i są po prostu trywialne.

ŁUCZNICZKA I POTOP

Nie można zapominać, że rozwój Bydgoszczy przypada na okres rozbiorów. Zaborca pruski sprawił, że miasto znalazło się w trybach rewolucji przemysłowej, ale jego rozwój i wzrost znaczenia był związany z pewnymi kosztami. Chociażby takimi, jak rozbiórka budowli kojarzących się z polskością miasta: gotycko-renesansowego ratusza oraz XIV-wiecznego zamku. Zaborcom można przypisywać rozwój komunikacji i przemysłu – nieistniejący już budynek dworca kolejowego, Kanał Bydgoski, budynek poczty głównej.

Bydgoszcz może się za to pochwalić dwoma pomnikami, z których jeden jest oryginałem, a drugi – wierną kopią. Ten pierwszy, Łuczniczka z 1908 r., stał się symbolem miasta. Drugi nawiązuje do jego charakteru w okresie międzywojnia. W 2014 r. zakończyła się odbudowa fontanny Potop. To kopia pomnika, który powstał w 1904 r. według projektu berlińskiego artysty Ferdinanda Lepcke. Kompozycja fontanny przedstawia scenę zagłady ludzi i zwierząt podczas biblijnego potopu. Nowy Potop znajduje się w tym samym miejscu co oryginał, czyli w parku Kazimierza Wielkiego. Tutaj w każdą sobotę sierpnia odbywa się Fontanna Muzyki, kilkudniowa impreza, podczas której jest prezentowany





MIŁOŚĆ NAD BRDĄ

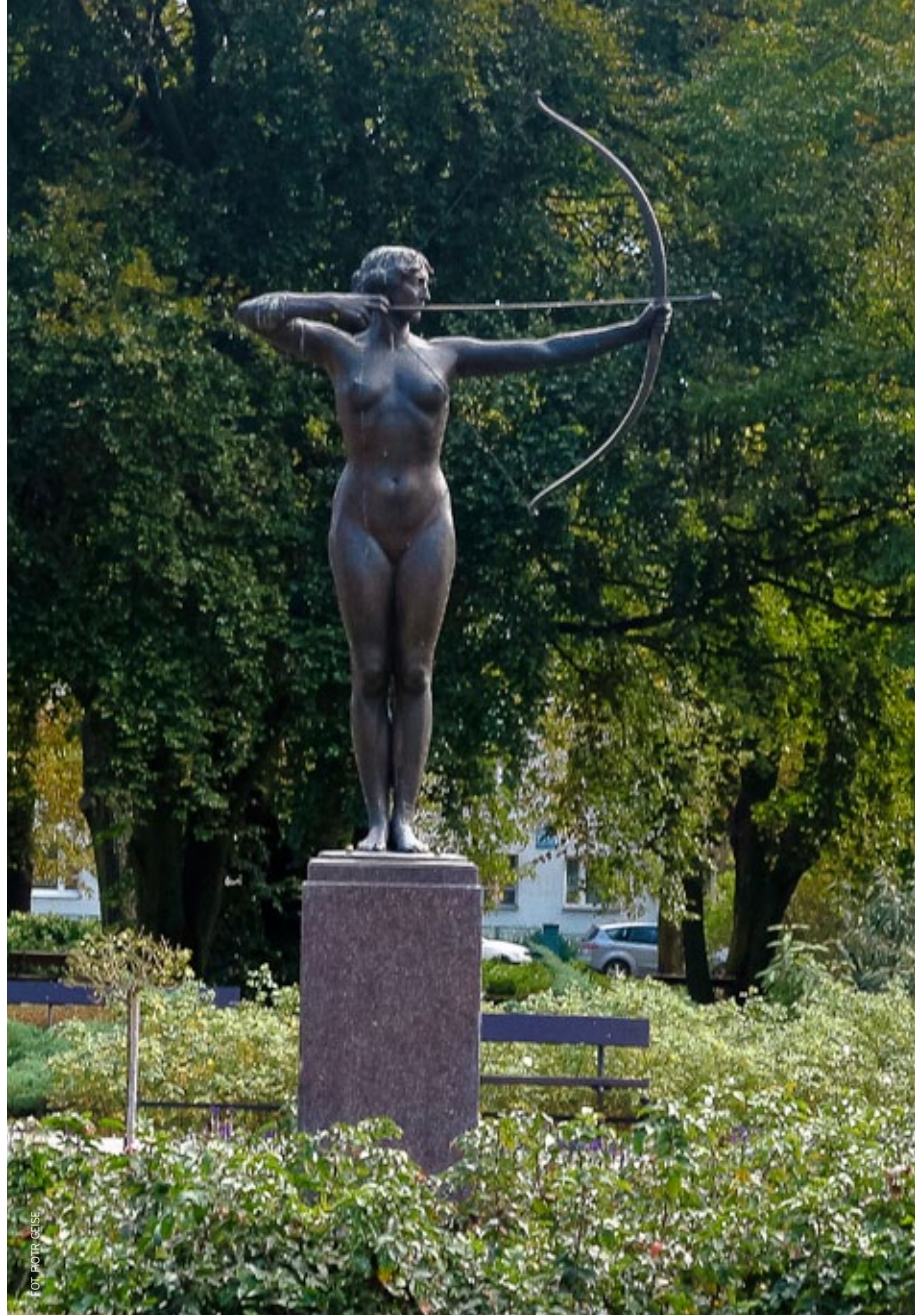
Most Miłości nad Brdą łączący Operę Nova z odrestaurowaną Wyspą Młyńską. Latem jest celem spacerów bydgoszczan i turystów.

repertuar operowy, operetkowy, musicalowy i muzyka filmowa.

Lepcke jest również autorem rzeźby Łuczniczka, która od 1910 r. ozdabiała plac Teatralny. Dziś niezniszczona stoi w parku Kochanowskiego naprzeciw Teatru Polskiego. To jedna z najstarszych rzeźb, która przetrwała w historii miasta. Kobieta ma wymiary 175–105–77–105, a jej jedynym ubraniem są sandały. Posąg 100 lat temu sprawiał „problemy” i wywoływał emocje, co skutkowało ubieraniem go, lub wręcz stawianiem parawanu podczas religijnych procesji.

W rodzinnym mieście Lepckego, Coburgu w północnej Bawarii, do dziś stoi kopia

Łuczniczki, choć w Niemczech nie dorobiła się ona statusu symbolu – w przeciwieństwie do Bydgoszczy, gdzie podobizny pomnika widnieją na plakatach i materiałach reklamowych miasta. Łuczniczka doczekała się swojej „wnuczki” – w 2013 r. przed wejściem do budynku opery pojawiła się figura nazwana Łuczniczka Nova. Stanowi ona transkrypcję na temat tej sprzed 100 lat, bowiem jest bardziej symboliczna (stoi na kuli) i wysmukła. Ta współczesna znajduje się przed wejściem do budynku Opera Nowa, który był jedną z najdłużej budujących się oper (1973–2006). Może nie jest to powód do dumy, ale mimo długiego okresu realizacji bryła nie zestarzała



się i nadal wygląda ciekawie – ma formę trzech wzajemnie się przecinających walców. Przede wszystkim jest to miejsce wystawiania ciekawych inscenizacji. Tu odbywa się Bydgoski Festiwal Operowy, który jest zaliczany do największych tego typu imprez w kraju. Prezentowane są nie tylko opery, operetki, musicale, ale i spektakle baletowe.

FRONTEM DO RZEKI

Wszystkie opisywane wyżej miejsca i obiekty są w bliskiej od siebie odległości i symbolicznie zapraszają, aby odwiedzić ul. Gdańską. Niegdyś uchodziła ona za najbardziej

reprezentacyjną w mieście. Co prawda z roku na rok widać coraz więcej odnowionych secesyjnych i eklektycznych kamienic, ale pomyśleć, że do II wojny początkowy odcinek tej ulicy był nazywany przez bydgoszczan Gdynią. Wpadało się tam pokazać wieczorem lub w niedzielne przedpołudnie – to był taki mieszczański „salon”. Dzięki oddolnym inicjatywom mieszkańców pięknieje i już niebawem będzie w pełnej krasie, po odnowieniu kamienic, które wreszcie ukażą piękno secesyjnych ornamentów.

Przedłużenie tej ulicy zaprowadzi nas wprost do Filharmonii Pomorskiej, która może pochwalić się doskonałą akustyką.

ZGRABNY SYMBOL

Pomnik Łucniczki z 1908 r. autorstwa Ferdynanda Lepcke jest uważany za symbol Bydgoszczy. Jego dwie kopie w Coburgu i Heringsdorfie nie dorobiły się takiego statusu.



BYDGOSKA GDAŃSKA

Eklektyczno-neobarokowa kamienica z końca XIX w. Ulica Gdańska była do 1939 r. reprezentacyjnym traktem mieszczańskim. Wraz z przecznicami ul. Cieszkowskiego i al. Mickiewicza stanowi miejsce bydgoskiego modernizmu, secesji i eklektyzmu.

Okolice budynku to ciekawy zakątek miasta. Kwartał ulic wypełniają modernistyczne, do brze zachowane wille.

Bydgoszcz ze względu na mnogość parków (obecnie aż 31 – każdy powyżej 2 ha), jak i charakter zabudowy z XIX i początku XX w. była nazywana małym Berlinem. Stąd pochodził malarz i grafik Walther Leistikow, który należał do założycieli Stowarzyszenia Berlińska Secesja – zrzeszającego malarzy i nieodnoszącego się do stylu w architekturze. Muzeum

Okręgowe w Bydgoszczy ma w zbiorach kolekcję obrazów, akwrel i grafik tego artysty.

Bydgoszcz to również miejsce targów i kongresów oraz coraz większej liczby imprez sportowych, również tych o randze międzynarodowej. Miłośnicy zwiedzania obiektów przemysłowych mają do dyspozycji Szlak Wody, Przemysłu i Rzemiosła w Bydgoszczy TeH₂O. Jednym z uczestników tego szlaku, obok Spichrzy nad Brdą i Kanału Bydgoskiego, jest Muzeum Mydła i Historii Brudu,

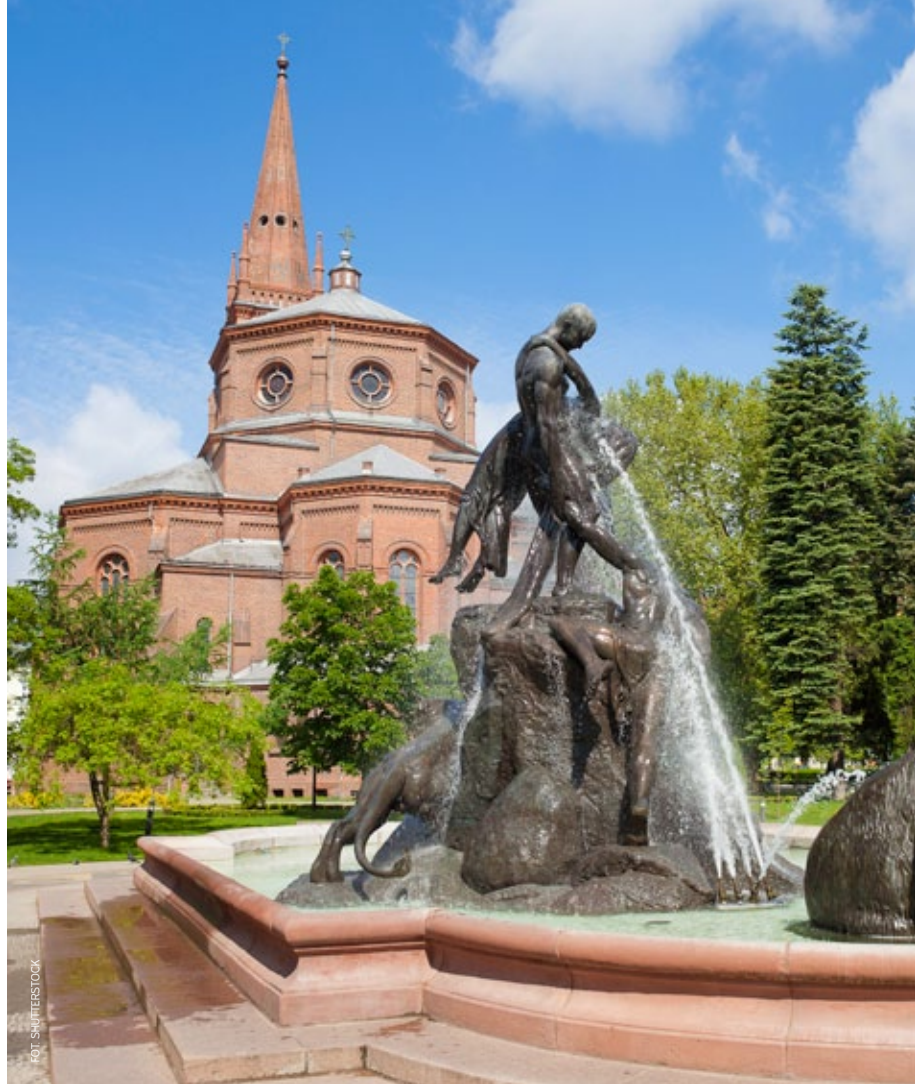


FOT. PIOTR GEISE

w którym można nie tylko zapoznać się z historią higieny, lecz także nauczyć produkcji mydła domowym sposobem.

W mieście od 2004 r. działa Bydgoski Tramwaj Wodny, który nawiązuje do tego z lat 30. Po wojnie również funkcjonował tramwaj wodny, ale były to rejsy połączone z małą gastronomią i dancinami. Od 2010 r. flota powiększyła się o statki napędzane energią słoneczną.

Miasto zdecydowanie zyskało na atrakcyjności od 2012 r., po rewitalizacji Wyspy



FOT. SHUTTERSTOCK

Młyńskiej, która tym samym stała się chętnie uczęszczanym miejscem na starówce. Odbywają się tu koncerty, jest warzelnia piwa, restauracje. W odrestaurowanym budynku mennicy mieści się Europejskie Centrum Pieniądza oraz Galeria Sztuki Współczesnej.

Po wielu latach miasto przestało się odwracać od Brdy, a tereny wokół niej warto poznać, jak choćby gustownie zrewitalizowane Młyny Kentzera.

Najczęściej Bydgoszcz jest opisywana z perspektywy neobarokowego hotelu Pod Orłem z końca XIX w., kościoła farnego, kościoła Klarysek czy też neoklasycystycznej bazyliki św. Wincentego a Paulo, której forma może przywołać na myśl skojarzenia z rzymskim Panteonem lub bazyliką św. Piotra w wersji mini. Miasto jest jednak godne innego spojrzenia niż tylko to przewodnikowe. Warto zająrzeć do grodu na Brdą i Wisłą i zapoznać się z jego historią. Bo Bydzia to już wcale nie brzydzia! ○

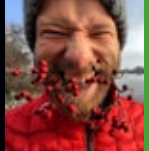
FONTANNA MUZYKI

Ferdynand Lepcke zaprojektował w 1904 r. również fontannę Potop. W 1943 r. wywieźli ją i przetopili Niemcy. Po odbudowie w 2014 r. jest miejscem letniego festiwalu Fontanna Muzyki.



Piotr Geise

Socjolog, dziennikarz, w latach 1993–2006 współpracował w Berlinie z publicznymi radiostacjami RBB i Deutsche Welle. W latach 2003–2013 wykładowca na uczelniach w Bydgoszczy, Wrocławiu i Poznaniu. Obecnie konsultant, doradca, trener.



STRACH

Pierwszy raz spałem w lesie podczas jednego z obozów harcerskich. Stałem sam na straży nocą w kuchni. Była daleko od obozu, najpierw musiałem przejść przez las. Bałem się. Inni, którzy trzymali wartę przede mną albo po mnie – zresztą też. Niektórzy spali na cysternie od wody, żeby nic ich nie zjadło, inni – tak jak ja – kładli się pod namiotem kucharki. Czego się bałem? Wszystkiego: szmerów, szelestów, każdego ruchu. Nie pamiętam, co sobie wyobrażałem, ale na pewno było to coś strasznego. Coś, co miało mnie zjeść, zaatakować, zniszczyć. Miałem 11–12 lat.

Kiedy podrosłem do osiemnastki, zacząłem sam podróżować. Pojechałem do Francji autostopem. Na pierwszym postoju, gdzieś w okolicach Holandii, rozbiłem namiot w lesie. Pamiętam, że rozpaliliśmy małe ognisko, które ledwo się tliło, żeby nikt mnie nie znalazł i nie przepędził. Do dzisiaj widzę siebie, przestraszonego, rozglądającego się dookoła, czy nikt nie nadchodzi.

Jako dwudziestolatek na chwilę przestałem się bać. Pracowałem w Finlandii, w dalekiej Laponii, jeszcze kawałek drogi na

północ za Rovaniemi. Zbierałem moroszki na mokradłach. Bez mapy i kompasu chodziłem całymi dniami po lasach, w których łatwiej było się zgubić, niż znaleźć. Zresztą co roku fińska policja pomaga odnaleźć od kilkunastu do kilkudziesięciu osób, które gubią się podczas zbiorów moroszek. Ale ja zgubić się nie bałem. Choć teraz przypominam sobie, że bałem się niedźwiedzi. Byliśmy w pobliżu granicy z Rosją i mieliśmy szansę je spotkać. A więc jednak bałem się zawsze.

Także w polskich lasach. Zawsze spałem jak zając. Wszystko słyszałem

i wszystko mnie budziło. W końcu doszło do tego, że wtykałem w uszy zatyczki, na oczy zaciągałem zaślepki, a jak było już naprawdę źle, to brałem melatoninę, żeby spać głębokim snem. Strach nie mijał, ale mogłem go przespać.

Ostatnio spałem na dziko w Bieszczadach. Złapał mnie deszcz, nie miałem namiotu ani kurtki, więc schowałem się pod drewnianą wiatą. Obok niej stał znak: „Uwaga niedźwiedzie”. Już zasypiałem, już miało być dobrze, ale nagle poczułem ciepły podmuch powietrza na karku. Pierwsza myśl: niedźwiedź. Przejrzałem



FOT. SHUTTERSTOCK

w głowie wszystko, co wiedziałem na temat niedźwiedzi i tego, jak się zachować podczas spotkania z nimi. Niewiele tego było, ale stanęło na tym, że będę grał martwego. Leżałem nieruchomo, oddychałem najpłycej i najciszej, jak się dało, i starałem się nie wydawać żadnych dźwięków. Leżałem, ale nic się nie działo. W końcu zacząłem się zastanawiać: niedźwiedzie śmierdzą, a ja nic nie czuję. Dlaczego? Niedźwiedź jest ciężki, gleba tutaj jest wysypana kamyczkami, więc powinienem usłyszeć, jak idzie. Ale cały czas było cicho. Zebrałem się w sobie,

odwróciłem i zaświeciłem czołówkę. Było pusto.

Przypomniałem sobie, jak kilka lat temu byłem na stypendium na Słowacji, mieszkałem na obrzeżach Bratysławy i w ramach odświeżenia głowy chodziłem do lasu. Zachęcałem do tego mojego sąsiada, Benedeka. Obaj pracowaliśmy nad książkami i takie samotne spacerunki w lesie były nam bardzo przydatne przy pisaniu. Ale Benedek mówił, że on się boi chodzić po lesie. Kiedy zapytałem dlaczego, odpowiedział: szmery, szelesty, niespodziewany ruch. W sumie bał się tego co ja. Przypomniałem sobie tę historię po moim spotkaniu z wyimaginowanym niedźwiedziem. Zrozumiałem wtedy, że tak naprawdę boję się tego, czego nie znam. Kiedyś nie miałem pojęcia, czym są te szmery, szelesty i niezidentyfikowane dźwięki, więc się ich bałem. Tak samo bałem się tego niedźwiedzia, ale on był skonstruowany w stu procentach z mojej niewiedzy. Niewiele o nich wiem, więc uważam, że spotkania mogę je zawsze i wszędzie. W dzień – choć to nocne zwierzęta, na szlaku – choć unikają ludzi jak ognia, na polanie – choć poruszają się głównie lasami (przynajmniej te bieszczadzkie).

Z tego samego składał się strach mój i Benedeka: z niewiedzy. Tak mało wiemy o lesie, że wszystkiego się w nim boimy. Każdej złamanej gałązki, pohukiwania sowy czy szeleszczących liści. A prawda jest taka, że jeśli już coś przyjdzie pod twój namiot w nocy, to będzie to albo tuptający jeż (tak było na nocnych wachtach na obozie harcerskim), ewentualnie, w porywach, dzik żerujący na pozostawionych resztkach jedzenia. Tak naprawdę najgroźniejszym stworzeniem w polskich lasach są kleszcze. To jedyne stworzenia, które lgną do człowieka. Reszta ucieka przed nim w podskokach.

Żeby uświadomić, jak bardzo nasz strach jest absurdalny, powiem tyle: w ciągu ostatnich stu lat nie było w Polsce ani jednego przypadku ataku zdrowego, dzikiego wilka na człowieka. W ciągu tych samych stu lat w Europie niedźwiedź nie

zabił ani jednego człowieka. Ale wiem, że to są racjonalne argumenty, które nie przemawiają do wyobraźni tak, jak wilcze kły albo niedźwiedzie pazury. Nadal się boję, ale staram się ten lęk oswoić.

I właśnie dlatego, że się boję, jeżdżę do lasu. Na tropienie wilków w Beskidzie Żywieckim czy niedźwiedzi w Bieszczadach. Zawsze z profesjonalistami, zawsze bezpiecznie i tak, żeby nie przeszkadzać zwierzętom. Zadaję masę pytań, słucham, uczę się. Im więcej o nich wiem, tym mniej się ich boję i tym szybciej strach przechodzi w respekt i szacunek. Za każdym razem, kiedy wpuszczą mnie w swój świat: pozwolą zobaczyć swoje tropy, starą, nieużywaną gawrę albo wykrot, pod którym wilki wychowywały młode, czuję się, jakbym dostąpił wtajemniczenia. Jakbym wkroczył w świat z baśni i legend, a mikrowyprawa nie była zwykłą podróżą, ale cudem. Przeżyłbym duchowym, a nie podróżniczym. ◯

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

DUCH MEKONGU

Radosław Kozuszek

W mętnych wodach rzek południowej Azji żyje tajemniczy ssak. Dawniej pomagał rybakom w połowach, a dziś decyduje o prosperity pewnego kambodżańskiego miasteczka.

SSAK CICHOCIEMNY

Z uwagi na środowisko życia oraz zwyczaje orczki krótkogłowe nie są wdzięcznymi obiektami do fotografowania. Najpewniejszym miejscem, gdzie można je w Azji spotkać, jest wybrzeże Bangladeszu oraz część Mekongu w Kambodży (na zdjęciu).





KAPITAN POKAŻE

Tutejsi rybacy zamiast na połów ryb częściej wypływają, aby pokazać turystom delfiny. Żeby je spotkać, trzeba najpierw wynająć łódź za 7 dolarów z doświadczonym kapitanem – jak ten z piwem, na zdjęciu po prawej.

Oreczka krótkogłowa (*Orcaella brevirostris*) jest niewielkim delfinem oceanicznym, który mimo taksonomicznej przynależności do ssaków bytujących w wodzie słonej gustuje także w wodzie słodkiej lub słonawej. Z tego względu jest zaliczana do gatunków euryhalicznych, czyli takich, które znoszą różny stopień zasolenia środowiska zewnętrznego. Mierzy do dwóch metrów. Ma krótką, tępo zakończoną okrągłą głowę z szerokim otworem gębowym. Ssak co prawda nie ma rozwiniętej mimiki, jednak dla osób, którym udało się go zobaczyć, wygląda, jakby był ciągle uśmiechnięty.

Mimo zakwalifikowania oreczki do delfinów oceanicznych charakteryzuje ją – co jest typowe dla delfinów rzecznych – słabo wykształcona płetwa grzbietowa. Służy ona

ssakom jako ster oraz stabilizator, a przydaje się głównie na pełnym morzu. U oreczek, które upodobały sobie zalewowe lasy namorzynowe, jeziora, zatoki i rzeki, płetwa ta nie spełniałaby swojej funkcji ze względu na dość trudny teren do manewrowania.

POMOCNICY RYBAKÓW

Oreczka żyje w niewielkich grupach rodzinnych w strefie przybrzeżnej Azji Południowo-Wschodniej, w deltach rzek, jeziorach i samych rzekach, w których jest spotykana nawet 1000 km od ujścia. Można ją jeszcze spotkać w birmańskiej Irawadi, gdzie jest określana przez miejscową ludność mianem „rzecznego ducha”. Uważa się tu, że delfiny są formą reinkarnacji mieszkańców wiosek zlokalizowanych na brzegach Irawadi,



FOT. RADOSŁAW KOZŁUSZEK



FOT. RADOSŁAW KOZŁUSZEK



FOT. RADOSŁAW KOZŁUSZEK

i w żadnym wypadku nie wolno ich zabijać. Również tej rzecze oreczka zawdzięcza swoją angielską nazwę, która w tłumaczeniu brzmi „delfin Irawadi”.

Dawniej, gdy tych delfinów było więcej, birmańscy rybacy korzystali z ich zdolności przy łowieniu ryb. Zauważyli bowiem, że oreczki są w stanie zagonić wypłoszone przez nie ławice prosto w rybackie sieci. Te, które chciały się wycofywać, były zjadane przez płynące za nimi delfiny. Rybacy po ukończonym połowie składali w podzięce swego rodzaju ofiarę z ryb, wrzucając część z nich ponownie do wody. Delfiny, które utożsamiono z dobrymi duchami przodków, zjadały ofiarę, a ludzką łódź kojarzyły z możliwością otrzymania pożywienia.

Niestety, dzisiejsza subpopulacja delfinów z Irawadi liczy mniej więcej 50 osobników,

POMNIK PRZYRODY

Ta stara już rzeźba rzeczno-delfina naturalnej wielkości jest znakiem rozpoznawczym miejsca, w którego pobliżu można go zaobserwować.



WCZASY POD STRZECHĄ

Turystyczna wioska Kampi, pobudowana pośrodku Mekongu, gdzie głębokość rzeki nie przekracza 1,30 m. Kilkanaście domów świadczy tu usługi noclegowe oraz oferuje bezpieczne miejsca do kąpieli.

a spotkanie żywej orecki należy tu do rzadkości. Pozostałe jej subpopulacje zamieszkują: zarośnięte lasem mangrowym wybrzeże Bangladeszu (ponad 5 tys. sztuk), borneańską rzekę Mahakam, filipińską cieśninę Malampaya, jeziora Songkhla w Tajlandii oraz Ćilka w Indiach, a także indochińską część rzeki Mekong.

Orecki są co prawda liczniejsze niż typowo słodkowodne gatunki delfinów, jednak ich byt również jest zagrożony. Zazwyczaj giną poprzez utonięcie w wyniku zaplątania się w sieci skrzelowe oraz z powodu nielegalnych sposobów łowienia ryb (rażenie prądem, materiały wybuchowe), a także zanieczyszczeń środowiska i hałasu.

BIZNES W STREFIE OCHRONNEJ

Najpewniejszym miejscem, aby zobaczyć te niesamowite ssaki na własne oczy, jest wybrzeże Bangladeszu lub kambodżański odcinek Mekongu. Mimo że rzeka przepływa również przez Laos i Wietnam, to spotkanie orecek na terenach tych państw jest bardzo trudne. W jej środkowym biegu, w okolicy kambodżańskiego miasta Krâchéh, zamieszkuje kilkadziesiąt osobników, a spotkanie się z nimi oko w oko nie należy do rzadkości. Rząd Kambodży, widząc zainteresowanie ze strony turystów, wytyczył strefę ochronną dla orecek. Władza i okoliczni mieszkańcy są zainteresowani profitami, jakie można w ten sposób uzyskać.



FOT. PRAPROŚCISŁAW KAZIEMSKI

Zakazuje się tam używania sieci skrzelowych, ogranicza komercyjny połów ryb oraz przepływ łodzi motorowych. Do dbania o bezpieczeństwo delfinów powołano kilkudziesięciu strażników rzecznych. Okazało się, że taki typ ochrony wystarczył, aby przynajmniej na chwilę zatrzymać tendencję spadkową w ich liczebności.

Odwiedzając zatem Kráchéh, wykupując bilet wstępu na chroniony odcinek Mekongu, wypożyczając łódź, korzystając też z miejscowych noclegów i gastronomii – turyści przyczyniają się pośrednio do ochrony oreczek. Ale niektórzy ekolodzy mają zgoła inne zdanie. Uważają, że zbyt duża penetracja przez przybyszów chronionego odcinka rzeki może zaburzyć naturalne zachowania delfinów i przyczynić się do spadku ich liczebności. Jest to prawda, jednak na razie strumień pieniędzy płynący od miłośników przyrody jest dla miejscowych głównym argumentem za tym, by chronić oreczki.



FOT. PRAPROŚCISŁAW KAZIEMSKI



Sytuacja wygląda zdecydowanie gorzej w górnym i dolnym odcinku rzeki, gdzie delfiny w zasadzie już wyginęły. Obszar ich występowania jest ograniczony – z jednej strony ruchliwą deltą, którą Wietnam wykorzystuje jako gigantyczny obszar transportowo-rolny, a z drugiej chińskimi i laotańskimi elektrowniami wodnymi, które przez nieregularnie zrzuty hektolitrów wody zaburzają tryb życia rzecznych ryb. Ponadto Laos nosi się z zamiarem wybudowania na Mekongu nowych elektrowni, które nie tyle ograniczą migracje delfinów, których na terenie tego państwa i tak zostało zaledwie kilka, ile przyspieszą śmierć biotopu całej rzeki.

NA SPOTKANIE Z ORECZKĄ

Dawniej delfiny wspierały rybaków w połowach ryb – dziś pomagają w utrzymywaniu ich rodzin. Lokalny biznes kręci się wokół tych sympatycznych ssaków. Widokówki, foldery, koszulki, breloczki i niewielkie drewniane rzeźby przedstawiają właśnie oreczki. Każdy hotel proponuje turystom wyjazdy pakietowe, w których żelaznym punktem jest wizyta nad brzegiem Mekongu. Co prawda, aby wypatrzyć delfiny, Mekong można penetrować w wielu miejscach, jednak najpewniejszym miejscem ich pobytu jest to wyznaczone przez rząd – znajdujące się 15 km na północ od Kráchéh, obok wioski Kampi.

Po 40 minutach jazdy asfaltową, a potem szutrową drogą wita nas leciwa rzeźba przedstawiająca dość swobodne wyobrażenie oreczki krótkogłowej. Za nią znajduje się gigantycznych wielkości, jak na warunki kambodżańskie, parking. Kilka straganów oferuje pamiątki z delfinami oraz produkty rękodzieła ludowego. Po wykupieniu biletu wstępu za 7 USD mamy możliwość skorzystania z łodzi motorowej z obsługą. W miejscu, gdzie występują oreczki, znajduje się niemały klif, dlatego zejście nad brzeg prowadzi kilkudziesięcioma schodami. Schodząc, zobaczymy kilka plakatów opisujących przyczyny wymierania tych zwierząt i prezentujących dobrej jakości zdjęcia delfinów, a jednocześnie informujących, że miejscem tym opiekuje się WWF.

Po wyruszeniu na Mekong kapitan łodzi dość wcześnie włącza silnik i dalej wiosłuje



ręcznie lub podpira się długą tyczką. Tłumaczy, że delfiny nie lubią warkotu silnika, a poza tym wirnik może je zranić. Już po paru minutach od wypłynięcia na środkową część rzeki widać zawirowania na wodzie, które świadczą o tym, że oreczki są gdzieś pod powierzchnią i jest tylko kwestią czasu, kiedy zobaczymy wynurzające się lub parszkające wodą sympatyczne zwierzę. Jak na ssaki przystało, delfiny oddychają płucami, dlatego co jakiś czas muszą wynurzyć się na powierzchnię. W związku z tym, że są zwierzętami stadnymi, istnieje też duże prawdopodobieństwo, że w miejscu wynurzenia się jednego osobnika pojawią się także i inne.



Po 30 minutach aktywnego pływania łodzią wracamy do brzegu. Kapitanowie dobrze wiedzą, że turysta szczęśliwy to ten, który zobaczył oreczki. Poza tym wtedy chętnie wręczy jeszcze kilka dodatkowych dolarów. Z tego względu robią wszystko, aby pokazać przyjezdnym jak najwięcej.

Innym i dużo mniej popularnym miejscem, gdzie można obserwować te zwierzęta, jest Koh Pdao, oddalone o 40 km od Krâchéh. Tu co prawda nie wykupuje się biletu wstępu, jednak trzeba wynająć rybaka z łodzią, co w konsekwencji wyniesie tyle samo. A w drodze powrotnej do Krâchéh warto jeszcze wdrapać się po schodach na szczyt udekorowanej

dziesiątkami rzeźb mnichów i wcieleń buddy pagody Phnom Sambok oraz zajrzeć do pływającej wioski Kampi. Co prawda lata oryginalności ma ona za sobą, bo w jej granicach nie mieszka już ani jedna osoba, ale warto zajrzeć tu choć na chwilę, żeby zobaczyć, jak dawniej konstruowano przeprawy przez rzekę.

Dziś cała osada przybrała formę centrum rekreacyjnego, które jest popularne zarówno wśród turystów, jak i miejscowych. Na środku Mekongu znajduje się kilka drewnianych i bambusowych platform, na których postawiono kilkanaście budynków rekreacyjnych krytych strzechą. Z obydwu brzegów do rzecznej osady prowadzą dwa drewniane

EKOFLOTA

Łodzie nad Mekongiem w pobliżu miasta Krâchéh, gdzie można je wynająć, aby z miejscowym rybakiem odwiedzić tereny wylęgu żółwi rzecznych, pływające wioski czy nadbrzeżne pola uprawne.

CHROŃ ORECZKI!

W miejscu, gdzie wypływa się na spotkanie delfinów, rozwieszono kilka plakatów i billboardów informujących o przyczynach ich stopniowego ginięcia.



FOT. RADOŚLAW KOZUSZEK

mosty, a opłata za jej zwiedzanie wynosi 1 USD. Mekong w okolicach wioski jest dość płytki (1,30 m) i tworzy wiele wysepek, dlatego jest to popularne miejsce do kąpiei i biwakowania.

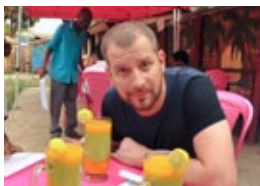
NIE TYLKO DELFINY

Sama podróż do Krâchéh z Phnom Penh, stolicy kraju, trwa ponad 5 godzin, dlatego turyści bawią tu zazwyczaj 2–3 dni. Oprócz tropienia delfinów mogą obejrzeć z bezpieczniejszej odległości nabrzeżne łąchy piaszkowe, na których lęgną się żółwie rzeczne, oraz pobliską pływająca wioskę Koh Trong, która w odróżnieniu od Kampi jest żyjącą osadą zamieszkaną głównie przez rybaków i ich rodziny. Oryginalnym zajęciem miejscowych dzieci jest pływanie po Mekongu w metalowych miskach.

Wolny czas można spędzać m.in. na zwiedzaniu postkolonialnej zabudowy Krâchéh czy

miejskich targowisk lub na przesiadywaniu w kilku lokalnych punktach gastronomicznych oferujących dania kuchni khmerskiej. Godnymi polecenia są warzywno-mięsne zupy z makaronem, naleśniki na ostro, potrawy z wołowiny, tropikalnych grzybów oraz *fish amok* – filety ryb zapiekane z mlekiem kokosowym, cebulą, czosnkiem, trawą cytrynową i przyprawami. Danie to dość często jest serwowane w liściach bananowca. Twardziele mogą skosztować smażonej szarańczy, karaluchów, gotowanych ślimaków, grillowanych jelit czy potraw z larwami owadów. Wraz z nastaniem zmroku nad rzeką otwierają się niewielkie punkty gastronomiczne oferujące napoje orzeźwiające, kawę, alkoholowe drinki, owoce i drobne przekąski.

A na zakończenie dnia miłym akcentem może być spacer promenadą nad Mekongiem w promieniach szybko zachodzącego słońca. ○



Radosław Kozuszek

Wykładowca akademicki. Prowadzi programy podróżnicze i kulinarne w Polskim Radiu PiK oraz Radiu Emaus. Autor licznych artykułów i przewodników turystycznych.

Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży

już od
70 lat



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- prenumerata roczna **tylko 109 zł**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jedną z wielu **książek**
- **darmowa** dostawa
- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**



Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.



W SERCU POLSKI

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Listopad nie sprzyja podróżowaniu. Po odwiedzeniu grobów zaszywamy się w ciepłych domach i ani nam się śni, żeby ruszać za miasto. Można to zmienić i dopasować plany wyjazdowe do panującej aury. Regionem, który idealnie nadaje się na listopadowy wypad, jest Mazowsze. Ma do zaoferowania sporo ciekawych miejsc – przyrodniczych, zabytkowych i kulturalnych. Nie ma drugiego regionu w Polsce z tak dobrą siecią dróg ekspresowych i autostrad. Co można robić jesienią na Mazowszu?

Zacznijmy od lasów. Puszcza Kampinoska, Bolimowska czy Kozienska. Liście już prawdopodobnie opadną i będą szeleścić na ziemi, a to wręcz pomaga – wszystko widać. Nie ma komarów i kleszczy. Szczęśliwym trafem mogą znaleźć się jeszcze grzyby.

Puszcza Kampinoska jest ogromna. Chroniona przez park narodowy ma jednak bardzo dobrą sieć szlaków i ścieżek przygotowanych dla turystów. Również z okna samochodu można poznać jej piękno, przejeżdżając drogą z Izabelina

do Palmir. Ciekawie jest również w Wierszach czy Truskawce. W zachodniej części koło Sochaczewa warto zajrzeć do Muzeum Kolei Wąskotorowej. Jeśli komuś marzy się noc w puszczy, można zatrzymać się w Górkach w pensjonacie Chamedafne albo w Aleksandrowie w agroturystyce Zdrowisko. Pysznej kuchni myśliwskiej skosztowałem w Dziupli w Truskawie.

W Puszczy Bolimowskiej trzeba na stanowić się na spotkanie z dziką naturą. Gdy dojechałem do Antoniewa i udałem się w kierunku Hipolitów, asfalt nagle się

skończył. Lepiej zostawić samochód na końcu wsi i dalej pójść pieszo. Po obu stronach drogi rozpościera się las. Co jakiś czas malownicze łęgi pobudzają wyobraźnię. Panuje tutaj wyjątkowy spokój. Jeśli dojedziemy z drugiej strony nad rzekę Rawkę, również możemy przejść się wzdłuż tej „Amazonki”. W pobliżu warto odwiedzić Żyrardów z pięknie odrestaurowanymi budynkami przędzalni, a w pobliskim parku zwiedzić Muzeum Lnu. Na dobrą kawę koniecznie trzeba zajrzeć do kawiarni Tygielek, a na obiad wpaść do Szpularni. Kawałek dalej, już na łódzkiej ziemi,

znajdują się dwie perły – Arkadia i Nieborów. O tej porze roku przy odrobinie kolorowych liści będzie tam magicznie. Po drodze warto zajrzeć do Oberży pod Złotym Prosiakiem na pyszne dania kuchni polskiej.

Puszcza Kozienicka to bardzo dobry przykład połączenia lasu przemysłowego z parkiem krajobrazowym i na dodatek jest to miejsce przyjazne turystom. Głównie dzięki bardzo dobrze przygotowanej ścieżce do Królewskich Źródeł. Dawno nie widziałem tak przemysłowego projektu, który z jednej strony koncentruje cały ruch w jednym miejscu, ale z drugiej – daje możliwość przejścia suchą stopą nad bagnami. Ogląda się tutaj las z zupełnie innej perspektywy. To naprawdę świetne przeżycie. Na wilczy apetyt pomoże wizyta w pobliskim Magnuszewie w Starej Kuźni. Jeśli leśne atrakcje to za mało, można pojechać w drugą stronę do Radomia i zwiedzić bardzo ciekawe Muzeum Wsi Radomskiej. Tuż obok w Orońsku na koneserów sztuki czeka Centrum Rzeźby Polskiej.

Listopadowy spacer po lesie to nie to? Na Mazowszu można robić o wiele więcej! Na przykład odwiedzić Pułtusk – miasto z najdłuższym brukowanym rynkiem

w Europie, malowniczo otulone przez wody Narwi, z pięknym zamkiem w samym centrum. Zaglądałem tam zimą, latem i wiosną. Za każdym razem wyjeżdżałem zauroczony. Nie ma tam „szlaku zabytków”. Trzeba samemu kluczyć w uliczkami dookoła rynku.

Jeśli takie zwiedzanie komuś nie pasuje – nie ma problemu. Polecam Płock, który ma dobrze zorganizowaną informację turystyczną. Dotarłem tam, nic nie wiedząc o mieście, a po dwóch dniach wyjechałem napełniony wiedzą i widokami. Chodziłem po prostu za drogowskazami, które bardzo precyzyjnie prowadziły mnie od punktu do punktu.

Do zobaczenia jest piękna katedra, dalej najstarsze liceum w Polsce, Muzeum Mazowieckie czy klasztor Marianitów.

Dużo zwiedzania, a dzień krótki? To też nie problem. Bliskość Warszawy sprawia, że weekendowy wypad można połączyć z wizytą w stolicy. Muzea, galerie sztuki, koncerty, spektakle – dla każdego znajdzie się ciekawa propozycja na długi listopadowy wieczór. Dobrym pomysłem jest również spacer po Starym Mieście czy nad Wisłą. O tej porze roku turystów jest niewielu.

Mazowsze mimo położenia w sercu Polski jest często pomijane w planach podróży. Uważam, że trzeba ten trend zmieniać, bo region ma ogromny, nieodkryty potencjał. Wymieniłem tylko kilka miejsc, a przecież wiele tam pereł na skalę Polski i świata. Muzeum Małego Miasta w Bieżuni, skansen w Sierpcu, Muzeum Romantyzmu, Muzeum Motoryzacji... Mazowsze nie jest nastawione na jeden typ turystów. Nigdy nie wyjechałem stąd zduszony czy rozczarowany. Co więcej – za każdym razem czułem, że chcę wrócić. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

CZIATURA INDUSTRIALNIE EKSTREMALNA

Stanisława Budzisz-Cysewska

Jedno z najbardziej oryginalnych miast na świecie. Podzielone czarną jak smoła rzeką i połączone sznurami kolejek linowych. Niegdyś miasto przyszłości, przemysłu i pieniądza. Dziś miejsce widmo. Zapraszamy fanów industrialnej turystyki na wycieczkę po górniczej Cziaturze.





FOT. SERKAN HEKMOZ - SHUTTERSTOCK



FOT. STANISŁAWA BUDZISZCZYŃSKA

STALINKA

Tak nazywany budynek w ścisłym centrum miasta mieści restaurację oraz siedzibę jednej z firm zajmujących się wydobyciem manganu.

Pokażę ci jedno z najbardziej niestandardowych miejsc w moim kraju – mówi Giorgi. – *Zabiorę cię do miasta, w którym nie ma ani pięknych widoków, ani luksusowych hoteli, ani dobrych restauracji, choć jedna z nielicznych nazywa się Paryż* – zapowiada.

POWIETRZNY TRANSPORT MIEJSKI

To prawda. Cziaturze daleko do kolorowego Batumi czy Tbilisi, które tętni życiem całą

dobę. Daleko jej nawet do prowincjonalnego Zugdidi, leżącego w zachodniej części Gruzji. Cziatura jest wyjątkowa. Po pierwsze dlatego, że aby do niej dotrzeć, trzeba zboczyć z trasy. Po drugie dlatego, że jest przykładem miasta upadłego. I po trzecie dlatego, że sami Gruzini raczej stąd uciekają, niż przyjeżdżają. Ale Cziatura ma coś, czego nie ma żadne inne miasto w całym byłym bloku postsowieckim – powietrzny transport miejski.

Nieszablonowy system miejskiej komunikacji wymyślili w latach 50. poprzedniego stulecia Sowieci. Projekt otrzymał



nazwę LINIA-25 i oplócił całe miasto siecią kolejek linowych. To tutaj w 1954 r. powstała pierwsza w całym Związku Radzieckim linia pasażerska, która działa nieprzerwanie do dziś. Sznury kolejek linowych połączyły ze sobą poszczególne części miasta położone wzdłuż obu brzegów rwącej rzeki Kwirili. Cziaturę w czasach sowieckich nazywano miastem przyszłości.

Z czego wynikał sukces Cziatury? Zaczynijmy od początku. Prawie do końca XIX w. mieszkańcy Kwirili, imeretyńskiej wioski położonej w głębokiej dolinie czarnej rzeki, żyli



FOT. STANISŁAW BUDZISZ CISEWSKA

w całkowitym spokoju i (zapewne) w zgodzie z naturą. Kwirili leżała w malowniczym wąwozie i mogła pochwalić się unikalnym górskim krajobrazem. Wszystko zaczęło się zmieniać w 1879 r., kiedy odkryto tam bogate złoża manganu. Surowiec szybko sprowadził do wioski kolej, a ta następnych mieszkańców. W 1921 r. małe Kwirili stało się przemysłowym miastem o nowej nazwie: Cziatura.

W latach 50. XX w. postanowiono z górniczego miasta stworzyć raj na ziemi dla nowo przybyłych mieszkańców robotników. Budowano: parki, szpitale, poradnie zdrowia, domy kultury, stadiony, banie, szkoły, przedszkola i oczywiście wielopiętrowe osiedla mieszkaniowe. W dolinie szybko zaczęło brakować miejsca, miasto więc pięło się w górę po stromych zboczach wąwozu. – *I tu zaczęły się problemy* – opowiada z zapałem Giorgi. – *Ludzie mieli coraz dalej do pracy i do centrum. A nie zapominajmy, że w czasach Sojuza centrum miasta było jedynym miejscem, w którym można było coś kupić. To wszystko mogło budzić frustrację, a ona mogła negatywnie wpłynąć na planową gospodarkę socjalistyczną. Wtedy właśnie wymyślono*

DROGA ZIELONA

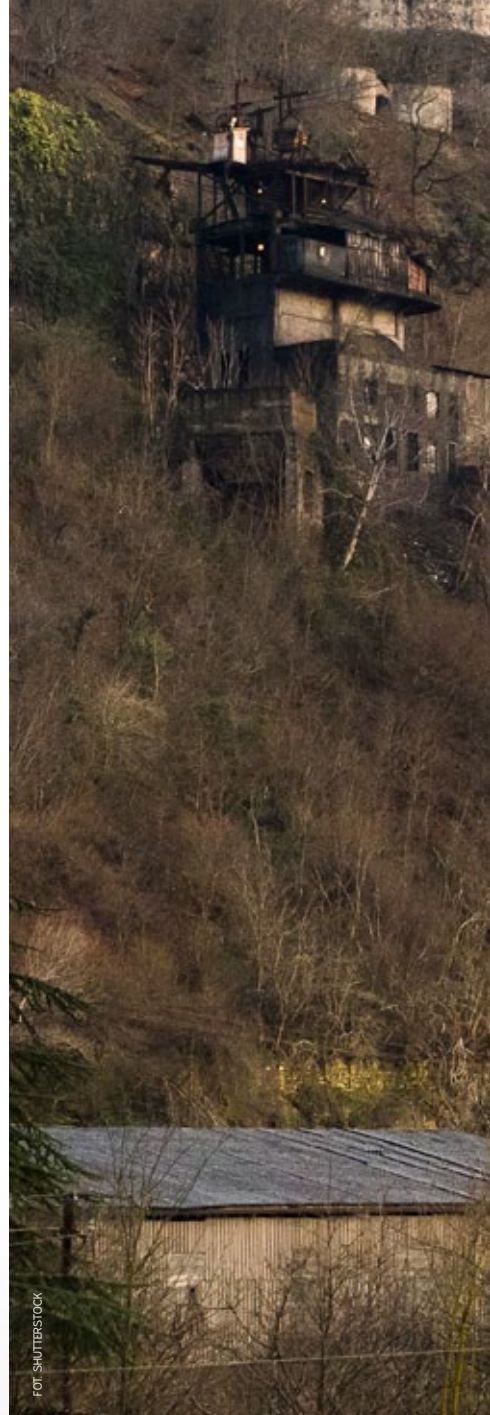
Z jednego brzegu Kwirili na drugi można przedostać się również po moście. Tu widać, że mimo industrialnego charakteru Cziatura jest także zielonym miastem.



FOT. STANISŁAWA BUDZISZ-CYSEWSKA



FOT. STANISŁAWA BUDZISZ-CYSEWSKA



FOT. SHUTTERSTOCK

PODNEBNA CODZIENNOŚĆ

Stacja najstarszej kolejki linowej. Startuje ona nad rzeką i dociera do wyludnionych bloków. Kolejki są elementem codziennego życia mieszkańców. To nimi jeździ się do szkoły, do pracy i na zakupy.

powietrzny środek transportu, który na zawsze nadał charakter temu miastu – mówi.

I nie sposób się nie zgodzić. Kolejki linowe istnieją na całym świecie, nawet w Gruzji prawie każde turystyczne miasto może pochwalić się swoją gondolą, ale Cziatura jest jednak w tym wszystkim wyjątkowa. Kolejki linowe nigdy nie stanowiły tu egzotyki i turystycznej atrakcji. Tutaj stały się nierozdzieloną częścią codzienności. System powietrznych korytarzy rozwiązał problemy logistyczne mieszkańców Cziatury. Tą drogą jechało się

do pracy, na rynek, do szkoły i do kina. Powietrzna podróż stała się oczywistością, a nie wakacyjną atrakcją.

ROZKWIT I UPADEK

W latach 80. XX stulecia Cziatura przeżywała szczyt rozwoju. Ponad 30 tys. mieszkańców używało bezpłatnego powietrznego transportu miejskiego. W mieście działało 10 linii pasażerskich i 7 przemysłowych. Nie był to jedyny unikatowy transport w tym regionie.



Na odcinku 40 km jeździł także międzymiastowy trolejbus, który łączył Cziaturę z Sacchere. Zakończył swój żywot w 2008 r. z powodu ewidentnej niewydolności technicznej, jak twierdzi Giorgi. – *Jeszcze do dziś można na trasie zobaczyć oberwane trakcje, a truchła niegdyś żółtych trolejbusów stały jeszcze kilka lat temu przy drogach. Być może tam, gdzie się zatrzymały na zawsze – wspomina.*

Ciężkie czasy nastąpiły dla Cziatury wraz z odzyskaniem niepodległości przez Gruzję w 1991 r. Upadły Związek Sowiecki przestał

finansować kopalnie, spadł popyt na mangan i miasto zaczęło chylić się ku upadkowi. Mieszkańcy masowo wyjeżdżali, a Cziatura z kilkudziesięcioletniego przemysłowego ośrodka wraz ze swoim nietypowym systemem komunikacji zaczęła się zmieniać w wyludnione surrealistyczne miasteczko.

– *Lata 90. XX w. były chyba najbardziej mroczne: wojna domowa, dwie wojny o separatystyczne regiony, walka o władzę. Nikt nie myślał ani o kopalniach, ani o górnikach. Każdy zagarniał wolność dla siebie, tylko że nie wiedział, co*

ZMAGANIA Z MANGANEM

Jedna z nadal działających fabryk przerabiających surowiec. Z niej ciągną się linie kolejek przemysłowych, które transportują górników oraz mangan.

ma z nią zrobić. I tak jest do dziś. W Cziaturze teraz żyje, albo w zasadzie wegetuje, 13 tys. mieszkańców – podsumowuje Giorgi.

TŁO HORRORU

Sowieckie miasto przyszłości dziś wita przyjezdnych pustką. Stacja w centrum miasta, z której jeszcze pięć lat temu można było wybrać się w powietrzny rejs w trzech kierunkach, nie działa. Kolejkę z lat 60., podobną do tej, którą możemy przejechać się w parku bordzomskim, postanowiono odremontować. Skarb państwa w 2013 r. przeznaczył na to 13 mln euro, ale efektów jeszcze nie widać. Działa za to najstarsza linia, łącząca centrum

z osiedlem mieszkaniowym. Na fasadzie tej właśnie stacji możemy zobaczyć wizerunki Lenina i Stalina. Zaraz obok, pod kątem 48 stopni, możemy wjechać niebieską metalową skrzynką z zakratowanymi okienkami na drugą stronę i podziwiać panoramę miasta.

– *Kolejki obsługuje motorniczy lub motornicza. W Cziaturze mamy równouprawienie – śmieje się Giorgi. – Dla Europejczyków to ekstremalny przelot, a dla mieszkańców norma. Dzieciaki jeżdżą nimi do szkoły, młodzi na randki, dorośli na rynek. Życie. Nikt się nie zastanawia, czy to niebezpieczne – mówi mój przewodnik.*

To fakt. Gondole nie wyglądają zachęcająco. Są przerdzewiałe, mają powybijane szyby,

MIEJSKI WĄWÓZ

Cziatura leży malowniczo w wąwozie czarnej od manganu rzeki Kwirila. Panoramę miasta najlepiej widać ze wzgórza, na które dotrzeć można kolejką linową.



dziury na wylot i sprawiają wrażenie, jakby nikt nie remontował ich od początku istnienia. Wahanie, czy do nich wsiadać, pojawia się samoistnie. Motorniczy jest, ale czy byłby w stanie cokolwiek zrobić, gdyby... Takie zdarzenie miało miejsce w Tbilisi w 1990 r. Na trasie z alei Rustawelego na wzgórze Mtatsminda urwała się gondola i zginęło dwadzieścia osób. Jak twierdzą mieszkańcy miasta, w Cziaturze takiej sytuacji nie było. Raz tylko, w 2008 r., dwunastu pasażerów zatrzymało się w wagoniku nad przepaścią. Mieli szczęście, na tej linii (z lat 60.) zainstalowano system hamowania, więc gondola nie roztrzaskała się o betonową stację. Podróżujący spędzili dwanaście nerwowych godzin w powietrzu, w oczekiwaniu na



FOT. STANISŁAWA BUDZISZ-CYSEWSKA



FOT. SHUTTERSTOCK

ekipę ratowniczą z Tbilisi, ponieważ w Cziaturze nie ma takich specjalistów.

Na zalesionych ścianach dumnie prężą się w hollywoodzkim stylu napis Cziatura, gruzińska flaga oraz stary, niedziałający czasomierz. W większości wyludnione bloki z wielkiej płyty malowniczo rozciągnięte na obu wysokich zboczach wąwozu przypominają scenierię horroru. Kiedy doda się do tego obraz skrzypiącej i wolno wylaniającej się z dawno nieprzycinanych krzaków zardzewiałej gondoli – rzeczywiście możemy poczuć się jak na planie filmowym. Odnosi się wrażenie, jakby wszystko to, co dobre, miało już nigdy nie wrócić. I jeszcze, jakbyśmy machiną czasu przenieśli się w lata 60. poprzedniego stulecia, a czas stanął w miejscu.

Dzisiejsza Cziatura jest idealnym miejscem do inscenizacji horroru, ale nie tylko. Stanowi nie lada gratkę dla fanów industrialnej turystyki, opuszczonych miejsc i gier RPG. Bo gdzie jeszcze można bezkarnie wejść do fabryki manganu i poobserwować górników w pracy? Gdzie w jednym miejscu znajdziemy opuszczone kopalnie, przestarzałe pociągi, zmęczone już żelazne latające gondolki, wyludnione bloczydła i szpitale? To prawda, Cziatura nie czeka na wszystkich, choć być może kiedyś będzie przeżywała swój renesans. ○

SOWIECKIE METRO

Spektakularny sowiecki projekt LINIA-25 wolno chyli się ku końcowi, stanowiąc nie lada gratkę dla wielbicieli industrialnej turystyki i fotografii.



Stanisława Budzisz-Cyewska

Dziennikarka, reporterka i tłumaczka. Absolwentka filologii polskiej i rosyjskiej, doktorantka Uniwersytetu Gdańskiego. Zawodowo i hobbyistycznie interesuje się Kaukazem. Zajmuje się zagadnieniami postkolonializmu, polityki współczesnej Rosji i jej wpływami na republikę byłego ZSRR.

KAUA'I – WYSPA OGRODÓW

Jerzy Nowiński

Najstarsza z wysp hawajskiego archipelagu zachwyca naturalnym pięknem i różnorodnością. Znajdziemy tu ponadkilometrowe klify, piaszczyste plaże i jedyny w swoim rodzaju kanion Waimea. Zabraknie jednak wysokich hoteli (budynki na Kaua'i nie mogą być wyższe od palmy kokosowej), rozbudowanej infrastruktury i tłumu turystów.



Kaua'i przyciąga filmowców od lat – do tej pory nakręcono tu ponad 70 filmów i seriali. Nie powinno więc nikogo zdziwić, że wybrzeże znanych z „Parku jurajskiego” wysp Isla Nublar i Isla Sorna to w rzeczywistości Nāpali, gdzie Spielberg zdecydował się nakręcić kultowe sceny swoich superprodukcji.



Nie przez przypadek Kaua'i jest nazywana Wyspą Ogrodów. Pokryta w większości lasem deszczowym, jest tak zielona, że na fotografiach wygląda niczym po obróbce cyfrowej. Na zdjęciu licząca 1348 m Namolokama – dziesiątki wodospadów, które wyrzeźbiły jej zbocze, to efekt płaskiego szczytu oraz wysokich opadów deszczu.



Z doliny Hanalei pochodzi ponad połowa hawajskich upraw taro. Bulwy i liście są podstawą lokalnej diety, a sama roślina pełni w kulturze archipelagu unikalną rolę. Zgodnie z legendą o ojcu niebios Wakea i jego córce Ho‘ohokukalani taro jest bezpośrednio spokrewnione ze wszystkimi Hawajczykami.



Do ponad 80 proc. powierzchni Kaua'i nie prowadzi żadna droga, dlatego jednym z najlepszych sposobów na poznanie wyspy są loty helikopterem. Podróż odbywa się w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, dlatego w kabinie najlepiej zająć miejsce po prawej stronie.



Kanion Waimea, nazywany Wielkim Kanionem Pacyfiku, ma ponad 17 km długości i jest głęboki na 900 m. Liczne szlaki turystyczne zachęcają do trekkingów, podczas których można wypatrzeć dzikie kozy.



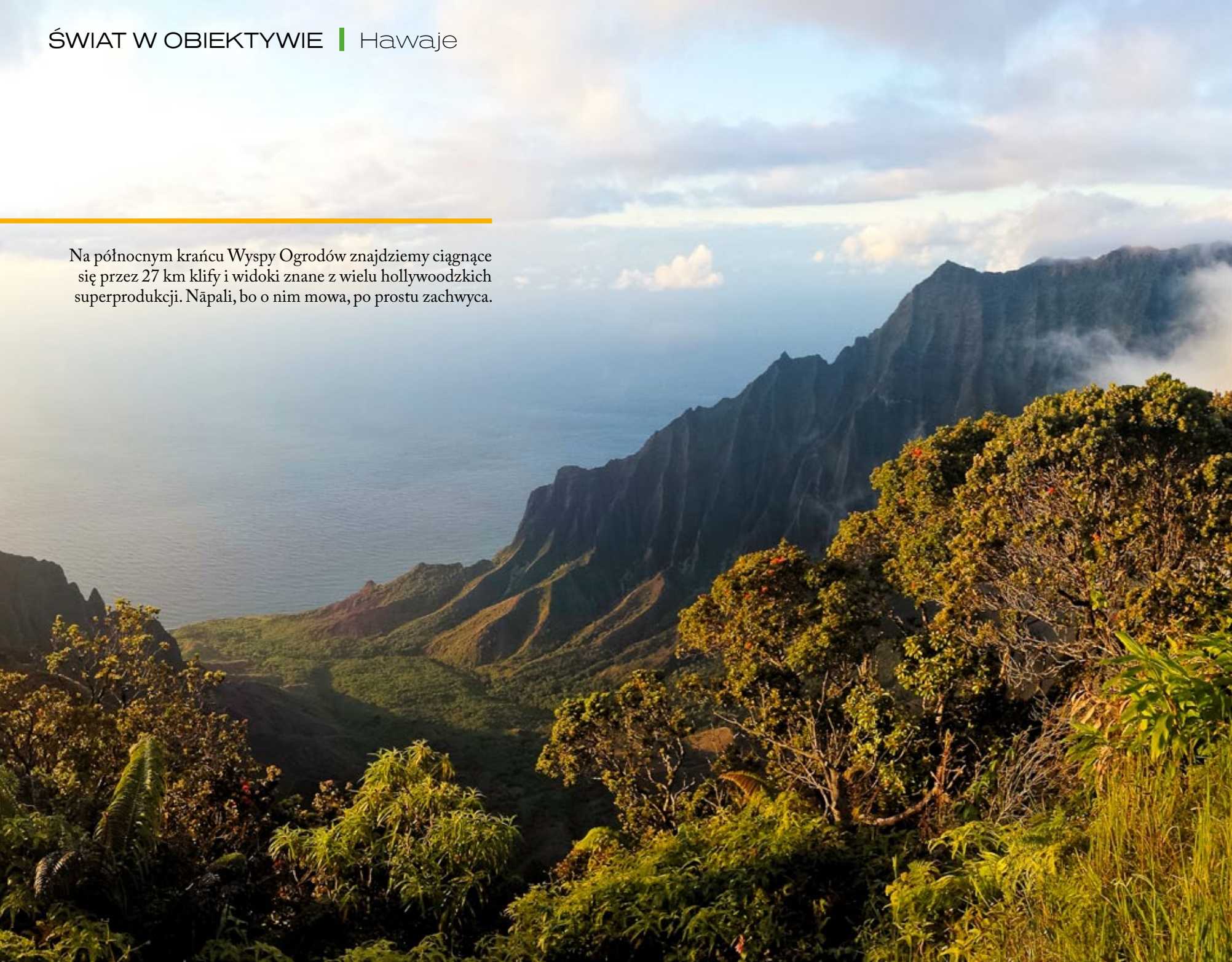


Kaua'i urzeka atmosferą lenistwa. Na praktycznie pustych plażach godzinami można wpatrywać się w panoramę wulkanicznych wzgórz, palmy i pojawiające się raz za razem tęcze.

Pływając przy północnym krańcu wyspy, możemy spotkać *hanu*, czyli żółwie zielone, oraz mniszki hawajskie – zagrożony wyginięciem gatunek ssaków z rodziny fokowatych.



Na północnym krańcu Wyspy Ogrodów znajdziemy ciągnące się przez 27 km klify i widoki znane z wielu hollywoodzkich superprodukcji. Nāpali, bo o nim mowa, po prostu zachwyca.



Pieszne wyprawy po Wielu Klifach, bo tak z hawajskiego tłumaczy się Nāpali, wymagają kondycji, ale nagrodą za wysiłek są pocztówkowe widoki. Stając nad kilkusetmetrową przepaścią, warto jednak pamiętać, że po deszczu ziemia robi się naprawdę śliska.



Jerzy Nowiński

Uwielbia poznawać nowych ludzi, skakać z kangurami i od czasu do czasu stawać na głowie. Autor książki o relacjach polsko-koreańskich: „Nadgodziny zagryzione kimchi”.



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Anna Szczesna

Okropnie się bałam tego, co zobaczę. Jak już robić film o legendarnych pilotach, to żeby to było coś, a nie tylko zbijanie kasy czy robienie sobie nazwiska na modnym ostatnio temacie. Tym dzielnym facetom, którzy mieli po dwadzieścia kilka lat, gdy walczyli na brytyjskim niebie, to się po prostu należy. W tym roku powstały aż dwie poświęcone im produkcje: „303. Bitwa o Anglię” oraz „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”. Po ich obejrzeniu wiem jedno: twórcy muszą się przygotować na to, że będą mieli teraz wielu zwolenników. Krytyków pewnie też...

PODEJŚĆ MOŻLIWIE BLISKO

Jest 8 czerwca 1946 r. Na londyńskiej alei The Mall właśnie trwa Parada Zwycięstwa. Kolumna marszowa ma ponad 15 km długości. Przed królem Jerzym VI defiluje ponad 20 tys. żołnierzy, m.in.: Amerykanie, Kanadyjczycy, Australijczycy, Czesi, Nowozelandczycy, Norwegowie, Francuzi, Irańczycy, Meksykanie, Hindusi, Grecy, Szkoci, a nawet oddziały z Etiopii, Szeszeli i Fidzi. Nie ma tylko Polaków, choć to właśnie oni stanowili jedną z najliczniejszych nacji, które walczyły na Zachodzie podczas II wojny światowej po stronie sił alianckich.

Jedna z filmowych scen pokazuje, jak tę historyczną uroczystość obserwuje z okna Jan Zumbach, słynny polski as myśliwski z Dywizjonu 303. Trudno się dziwić

jego rozgoryczeniu, bo ta zwycięska parada bez udziału Polaków to był prawdziwy afront i skandal na całego. Oczywiście owa nieobecność miała przyczyny polityczne. Wielka Brytania nie chciała drażnić Stalina, więc zaproszenie na defiladę wysłała do nowo powstałych polskich władz w Warszawie, a nie do władz emigracyjnych. Warszawa, pod naciskiem Moskwy, zaproszenie odrzuciła. W tej sytuacji Brytyjczycy próbowali jeszcze zaprosić do udziału w paradzie 25 polskich pilotów z Dywizjonu 303, ale pod warunkiem, że wystąpią wyłącznie jako część RAF. Lotnicy honorowo odmówili, gdyż to oznaczało pominięcie pozostałych polskich oddziałów, które również walczyły na Zachodzie. Dopiero w 60.

rocznicę zakończenia II wojny światowej Polacy pierwszy raz uczestniczyli w londyńskiej Paradzie Zwycięstwa. Trochę późno, biorąc pod uwagę, że Brytyjczycy wygrali bitwę o Anglię, największą w historii świata kampanię powietrzną, w dużej mierze dzięki polskim eskadrom lotniczym właśnie. Wśród nich był także słynny Dywizjon 303 – najskuteczniejsza aliancka jednostka lotnicza podczas II wojny światowej, którą Arkady Fiedler opisał w głośnej książce. Bitwa o Anglię była pierwszą poważną porażką Niemców w czasie II wojny światowej. Zmieniła cały jej dalszy bieg i odmieniła historię. To zwycięstwo było kluczowe dla podtrzymania zdolności wolnego świata do kontynuowania walki i oporu przeciwko nazistom.



FOT. ANNA SZCZĘŚNA

Swoim niebywałym wsparciem, wyjątkową pasją, oddaniem i umiejętnościami bojowymi polscy lotnicy, którzy walczyli nad Wielką Brytanią, przyczynili się do uratowania Europy. To także do nich wrzuszony Winston Churchill skierował pamiętne słowa: „Jeszcze nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym”.

Polacy byli dziko odważni, zabójczo skuteczni i niezwykle zacięci w boju. Latali bardzo brawurowo. W walce byli tak zdeterminowani, że wprost igrali ze śmiercią. Aby wyeliminować wroga, nie dbali o własne bezpieczeństwo, łamali zasady i bywali niepokorni. Po przegranej Polski w kampanii wrześniowej najpierw walczyli we Francji, później trafili do brytyjskich sił powietrznych – RAF. Kiedy

tam dostali nowoczesne myśliwce typu Hawker Hurricane i Supermarine Spitfire (w Polsce latali przestarzałymi samolotami), zaczęli odnosić nieprawdopodobne sukcesy w walce i pokazali wszystkim swoje doświadczenie bojowe. Atakowali od strony słońca. Trzymali się raz wybranego przeciwnika. Podchodzili maksymalnie blisko do wroga i oddawali krótką, skuteczną serię. Strzelali do wrogich maszyn z odległości tylko 20 m, podczas gdy Brytyjczycy – z prawie 100. Ostro skracali dystans również po to, aby wejść pomiędzy niemieckie maszyny i w ten sposób rozbić ich szyk bojowy. To był specyficznie polski styl, który bardzo przyczynił się do rozwoju taktyki walk powietrznych. W obu filmach są sceny, które to doskonale pokazują. Co prawda recenzenci trochę kręcą nosem, ale ja... wpadłam. Miałam momenty zawieszenia w czasie i głębokiej refleksji. Zastanawiałam się nad tym, jaki jest dzisiejszy świat, jakimi jesteśmy ludźmi i na co byłoby nas stać w obliczu wojennego zagrożenia. Śmiałam się też momentami do łez. Tak, na dramatach wojennych. Nie wypada? Mea culpa! Ale spróbujcie się nie roześmiać po tekstach Josefa Františka, który walczył w polskim Dywizjonie 303, chociaż był Czechem.

O Josefie Františku myślę szczególnie intensywnie właśnie tu, nad Wełtawą, w przepięknej Pradze, gdzie tuż przed wojną strzegł przestrzeni powietrznej w ramach 40 Eskadry Lotnictwa Myśliwskiego. Eskadra najpierw stacjonowała na lotnisku wojskowym Praga-Kbely (dziś mieści się tu jedno z największych w Europie muzeów lotniczych), a po ogłoszeniu mobilizacji – została przeniesiona na lotnisko Horní Měcholupy koło Pragi, skąd wykonywała loty patrolowe nad stolicą swojego kraju. František w trakcie służby wykazał się nieprzeciętnymi umiejętnościami pilotażowymi oraz wyjątkowym zapałem. Przy okazji dał się jednak poznać jako niepokorny indywidualista i outsider. Kiedy w marcu 1939 r. oddziały Wehrmachtu wkroczyły do Pragi, František ruszył do Polski, gdzie został instruktorem w Centrum Wyszkożenia Lotnictwa w Dęblinie. Po klęsce wrześniowej, wraz z innymi polskimi lotnikami, trafił do Rumunii, gdzie większość z nich została internowana. František zbiegł z obozu, a następnie z portu w Konstancy przedostał się statkiem do Marsylii. Tam kontynuował walkę w polskim lotnictwie

we Francji. Następnie latem 1940 r. dotarł do formowanego w Northolt polskiego 303 Dywizjonu Myśliwskiego im. Tadeusza Kościuszki, z którym wszedł do akcji w szczytowym momencie bitwy o Anglię. Podczas walk wykazał się ogromną bitnością i... oczywiście niesubordynacją. Ostatecznie regułą wręcz się stało, że samowolnie oddalał się od eskadry i samotnie „polował” na pojedyncze niemieckie samoloty, które po stoczonych walce wracały do baz we Francji, często uszkodzone i na resztkach paliwa.

Jestem na słynnym praskim cmentarzu Wyszehradzkim. Patrzę na położony w jego wschodniej części monumentalny panteon Slavin. To wspólny grobowiec wielu wybitnych osobistości zasłużonych dla narodu czeskiego. Moje myśli automatycznie biegną ku niezjącemu Josefowi Františkowi. Bohaterski lotnik, wybitny strzelec, niepokorny outsider, a może raczej kontrowersyjna postać, jak sugerują niektórzy. Kim naprawdę był? Tego już się chyba nigdy nie dowiem, pozostanę więc przy faktach. Z całą pewnością był jednym z najbardziej skutecznych pilotów myśliwskich w bitwie o Anglię, który zestrzelił aż 17 samolotów Luftwaffe. To uplasowało go na pozycji jednego z największych asów myśliwskich lotnictwa polskiego okresu II wojny światowej, zaraz po wybitnych pilotach: Stanisławie Skalskim i Witoldzie Urbanowiczu. Josef František zginął 8 października 1940 r., gdy wracał z rutynowego lotu patrolowego nad hrabstwem Surrey. Dzień wcześniej skończył zaledwie 26 lat. Nie leży na praskim Slawinie, choć pewnie mógłby. Został pochowany na cmentarzu wojskowym w Northwood koło Northolt. To słynna nekropolia polskich myśliwców, którzy walczyli na Zachodzie. Niech pamięć o nich trwa! ◊

Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.

Aktywna jesień

Jesień już w pełni, choć na szczęście ta polska, złota. Pogoda pozwala na wiele plenerowych aktywności, ale należy pamiętać, że może też szybko się zmieniać. Miejscami w górach mamy już przecież przebiegi zimy. Trzeba być na to przygotowanym, a w szczególności zapewnić odpowiednią termikę ciała.



Cena: ok. 90 zł
7anna.com.pl

BEZPIECZEŃSTWO Z-LOK COMBO

Pierwsze na świecie zabezpieczenie rowerowe w formie opaski zaciskowej. Zapewnia wygodne i komfortowe użytkowanie oraz transportowanie. Wersja Z-Lok Combo została rozszerzona o zapięcie szyfrowane (trzykrotne), które gwarantuje wyższy poziom bezpieczeństwa. Zapinka o długości 40 cm ma stalowy rdzeń.



Cena: ok. 730 zł
sklep.jack-wolfskin.pl

NA MIASTO I W TEREN AERO TRAIL MAN

To ciepła, oddychająca kurtka, nadająca się do codziennego użytkowania i wypadów za miasto. Zastosowano w niej nowatorską technologię wypełnienia Microguard Ecosphere pochodzącego z recyklingu. Składa się ono z syntetycznych włókien zapewniających optymalną izolację przy małej wadze. Pozostają one sprężyste i zapewniają komfort termiczny nawet przy przemoczeniu. Na produkcję 1 kg włókien Microguard Ecosphere przeznaczono 22 butelki PET z recyklingu.

CIEPŁA I WYGODNA BRUBECK ACTIVE WOOL

Wełniana bluza męska typu second layer Active Wool to najwyższej jakości odzież termoaktywna, szczególnie polecana do aktywności outdoorowych, np. trekkingu. Powstała z najlepszego naturalnego surowca – wełny merino. Jest wyjątkowo miękka, delikatna w dotyku, nie gryzie i nie drapie. Idealnie dopasowuje się do ciała, jest łagodna dla skóry i nie zostawia śladów dzięki bezciskowym ściągaczom i płaskim szwom.



Cena: ok. 330 zł
www.brubeck.pl

DLA AKTYWNYCH FJALLRAVEN KEB TOURING JACKET

To techniczny softshell do przygód w terenie w chłodnych porach roku. Wykonana z wytrzymałej elastycznej tkaniny, zapewnia większą swobodę ruchów i uwalnia wilgoć powstającą podczas aktywności fizycznej, jednocześnie chroniąc przed zimnym wiatrem i lekkim deszczem. Świetnie nadaje się na zimowe wyprawy trekkingowe i skituarowe oraz inne intensywne aktywności w górach. Ma wzmocnienia z materiału G-1000 Eco na ramionach i w dolnej części pleców.



Cena: ok. 1570 zł
www.fjallraven-shop.pl

NA ŚCIANKĘ I NA CO DZIEŃ RETZL CITY SPORT

Koszulka sportowa do wspinaczki lub codziennego użycia. Damska wersja na ramiączkach, męska – z krótkim rękawem. Atrakcyjny design: biało-czarny przecierany materiał z subtelnym wzorkiem wspinaczkowym i kontrastującymi akcentami. Mała pomarańczowa kieszonka na drobiazgi: w wersji męskiej na piersi, w wersji damskiej – z tyłu. Stylowa i sportowa. Rozmiary: S-L (damska), S-XL (męska). Wykonana w 100% z bawełny.



Cena: ok. 80 zł
www.amc.com.pl



Cena: ok. 270 zł
www.millymally.pl

DLA KAŻDEGO MILLY MALLY BUZZ

Nowość od marki Milly Mally. Buzz to hulajnoga, która łączy nowoczesny design oraz najwyższą trwałość, idealna zarówno dla dzieci, młodzieży, jak i dorosłych. To nie jest zabawka – produkt ma certyfikat EN 14619, a maksymalna dopuszczalna waga użytkownika wynosi 100 kg.

KLASYKA JULBO CHAM

Okulary mają duże (58 mm), najwyższej jakości, polikarbonowe soczewki Spectron 3CF, które zatrzymują 88 % światła widzialnego. Zapewniają 100 % ochrony przed promieniowaniem UVA, UVB i UVC. Zdemontowane skórzane osłony noska oraz części boczne chronią oczy przed wiatrem i promieniami słonecznymi. Wytrzymałe oprawki oraz ergonomiczne, wyginane końcówki zauszników zapewniają bezpieczeństwo, komfort i idealne dopasowanie.



Cena: ok. 500 zł
adventuresports.pl

DWA W JEDNYM VARTA NIGHT CUTTER F30R

Ładowalna latarka to idealne rozwiązanie dla miłośników outdooru, którzy chcą chronić środowisko. Wbudowany akumulator o pojemności 2600 mAh w sytuacji awaryjnej może posłużyć jako powerbank. Latarka ma funkcję regulacji ogniskowej, jasność do 700 lumenów i zasięg do 300 m. Jest wodoodporna (IPX4) oraz wstrząsoodporna (test upadku z 2 m), a wygodę użycia zapewnia klips do mocowania.

Night Cutter F30R ma 4 tryby świecenia: mocne, średnie, słabe światło i stroboskop.

Cena: ok. 210 zł
www.varta-consumer.pl



DLA WYMAGAJĄCYCH KEB HIKE 30

To wytrzymały i dobrze wyposażony plecak na górskie wspinaczki lub całonocne wycieczki narciarskie. Jest w nim wiele miejsca na ubrania, a do wewnętrznej kieszeni można włożyć bukłak na wodę lub – w przypadku miejskich wypadków z plecakiem o pojemności 30 l – laptopa o przekątnej ekranu wynoszącej 15 cali. Solidne uchwyty ułatwiają noszenie nart po skalistym terenie. To uniwersalny plecak, który sprawi, że wspinaczka na górskie grzbiety stanie się łatwiejsza, a schodzenie wygodniejsze.

Wykonany z wytrzymałego materiału G-1000® HeavyDuty Eco S i wodoodpornego nylonu 500 d z recyklingu.

Cena: ok. 1050 zł
www.fjallraven-shop.pl

MAKSYMALNIE WSZECHSTRONNY THULE FORCE XT

Nowy bagażnik dachowy Thule Force XT to idealne rozwiązanie dla osób, które szukają uniwersalnego kufra. Jest dostępny w wielu wersjach o różnych pojemnościach (od 300 do 500 l). Wyposażono go w cały zestaw rozwiązań ułatwiających codzienne użytkowanie – m.in. wygodny w obsłudze system zamykania LockKnob (który nie pozwoli złamać kluczyka w zamku), podwójne otwarcie DialSide czy system montażu PowerClick, dzięki któremu zamontowanie lub zdemontowanie bagażnika trwa dosłownie chwilę, a użytkownik zawsze ma pewność, że jest on stabilnie zamocowany.



Cena: od ok. 1700 zł
www.Thule.com



WYGODA I BEZPIECZEŃSTWO SHIMODA EXPLORE 40

Plecaki Shimoda Explore powstały w wyniku bólu i znużenia, które fotografowie odczuwali w górach. Plecak Explore 40 jest przeznaczony dla aktywnych fotografów, którzy ze względu na trudne warunki, w jakich pracują, potrzebują w pełni bezpiecznego i komfortowego systemu transportowego. Został on tak zaprojektowany, aby maksymalnie uprościć proces chowania lub wyjmowania sprzętu i jednocześnie minimalizować zmęczenie fizyczne spowodowane noszeniem plecaka. Jego konstrukcja jest intuicyjna i sprawia, że podstawowe rzeczy, takie jak jedzenie, woda, smartfon, zawsze są w zasięgu ręki.

Ciągle pada

Intensywne opady deszczu nie są dla Polaków niczym nowym. Związane z nimi podtopione piwnice, zalane ulice i paraliż komunikacji miejskiej zdarzyły się już niejednokrotnie. Bywały jednak ulewę bardziej ekstremalne.

Jedną z największych powodzi w historii Polski miała miejsce w lipcu 1934 r., kiedy deszcz padał nieprzerwanie przez pięć dni. Z brzegów wystąpiły Dunajec, Poprad, Biała, Ropa i wiele innych rzek. Uszkodzeniu bądź zniszczeniu uległo 167 km dróg, 78 mostów i ok. 22 tys. budynków. Część z nich, głównie tych w Zakopanem, była niesiona przez fale nawet przez 30 km. W niektórych miejscach żywność i inne potrzebne artykuły zrzucano z samolotów. Został wtedy pobity polski rekord wysokości opadów w ciągu jednej doby – na Hali Gąsienicowej spadło 255 mm deszczu.

Rekordu nie pobiła nawet powódź tysiąclecia w 1997 r. Została tak jednak nazwana nie bezpodstawnie, gdyż zasięg, długość opadów i wywołane straty były kilkukrotnie większe od powodzi w 1934 r.

Powódź w Małopolsce w lipcu 1934 r.



FOT. PAŃSTWOWE ARCHIWUM CYFROWE

Most na Rabie zerwany podczas powodzi w 1934 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



Ulewa w Warszawie w 1968 r.



FOT. MARCOWE ARCHIWOM CIEPLOWE



KANADA – POWRÓT NA ZIELONE WZGÓRZE



ROSJA – SAMOCHODEM PRZEZ BAJKAŁ



FINLANDIA – ŚWIĘTY MIKOŁAJ ISTNIEJE

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Anna Krystofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczesna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne
Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazuruwa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wąty Jagiellorskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Pozytywny Portal

www.Pomorzenie.info

Informator:
Kaszuby,
Kociewie,
Trójmiasto,
Żuławy
Świat Podróży

Polub nasz FANPAGE :

www.facebook.com/StudentTrojmiasto/



JARMARK BOŻONARODZENIOWY NA MARKTPLATZ
WWW.INNSBRUCK.INFO
#MYINNSBRUCK

**INNS'
BRUCK**

unlimited

BOŻE NARODZENIE W GÓRACH



Foto: Innsbruck Tourism / Jovanovic

Adwent i Boże Narodzenie

Ten najpiękniejszy okres w roku jest w Innsbrucku zapewne piękniejszy niż gdzie indziej.

Informacja: www.innsbruck.info, Telefon +43 512 / 53 56, info@innsbruck.info